Dokąd leci „SKYLAB"?

Specjaliści z NASA obliczyli, że „Skylab" rozpadnie się na 400—500 części. Niektóre mogą ważyć nawet do 2,5 tony i te prawdopodnie opadną na Ziemię w postaci ognistych meteorytów. Kiedy to się stanie? Ci sami specjaliści przewidują, że powinno to się stać po 15 czerwca 1979 roku, ale podaje się różne terminy.

(LUCJUSZ WŁODKOWSKI)

Wola porozumienia

Wprawdzie przepowiednie końca galaktyki Gutenberga, jak dotychczas nie sprawdziły się, ale przecież nie jest tajemnicą, że literatura utraciła „rząd dusz" (jeśli go rzeczywiście kiedykolwiek posiadała). W społeczeństwie naszym pozostała jednak wartością, do której tradycyjnie przywiązuje się duże znaczenie, choć nie należałoby zapewne przeceniać jej rzeczywistego wpływu.

(TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI)

Pod wiatr czy z wiatrem

„Życiodajna szansa Brytyjczyków", „Kontrakt stulecia" — takimi tytułami opatrywano informacje o porozumieniu pomiędzy PZM i British Ship Builders — zjednoczeniem upaństwowionych stoczni brytyjskich. Wywołało ono olbrzymie zainteresowanie specjalistów na całym świecie.

(SŁAWOMIR DARZYCKI)

W poszukiwaniu kształtu rzeczy

Rozumiał sens wewnętrznej potrzeby wypowiadania się w sztuce, potrzeby, którą mogą odczuwać ludzie nie posiadający odpowiednich dyplomów i kwalifikacji.

(MARIA KORNATOWSKA)

CZY NAS NIE STAĆ?

Próbuję zrozumieć czemu DŚT nie jest jeszcze tym, czym mógłby być z pożytkiem dla środowisk twórczych Łodzi i dla kultury artystycznej Łodzi. Odpowiedź na to pytanie na pewno nie jest prosta.

(EDWARD SZUSTER)

tygodnik społeczno-kulturalny

Łódź odgłosy

NR 25 (1124) ROK XXII 24 CZERWCA 1979 R. CENA 3 zł

PONADTO:

- „Załącznik"
- O Nowej Hucie
- W świecie
- Felietony
- Recenzje

W NASTĘPNYCH NUMERACH:

- Piknik nad Grabią
- Lubię sobie powspominać
- Nie tylko o Ziębie
- Dialog biednych i bogatych
- Ali i Bibi Chanym
- Bajońskie bony
- Nazywali go „Szczupak"
- Serdeczne więzy

Foto: Archiwum

Adam Bieńkowski

SPOTKANIE W HOTELU „HESSISCHER HOF"

Zostałem zaproszony do RFN na dziesięciodniową wizytę. Zaproszenie było oficjalne. Uzgodniono datę i oto siedzę w „Boeingu 729 — Europa Jet", który leci do Frankfurtu nad Menem. We Frankfurcie mieści się zarząd firmy AEG-Telefunken, której w latach okupacji byłem przymusowym pracownikiem.

Miał około czterdziestki. Nazywał się Gerhard Schulz. Fliegeschulz nazywali go Niemcy. Zawsze nienagannie ubrany, w białej koszuli z krochmalonym kołnierzykiem i mankietami, z muszką zamiast krawata. Stąd przezwisko Fliegeschulz. Wysoki, przystojny brunet, gładko uczesany. Przez trzy lata po dziesięć godzin dziennie siedzieliśmy w jednym pokoju.

Jednakowo traktował całą naszą trójkę: dwoje volksdeutschów i mnie, Polaka, który zajmował się wypełnianiem kart pracy. Wyniośle, niemal z pogardą. Wydawał krótkie polecenia i milczał. Żadnych rozmów oprócz służbowych. Całymi godzinami potrafił siedzieć za biurkiem i swymi wyłupiastymi oczami patrzeć w ścianę, bądź czytać gazety.

Jego stosunek do Polaków, zatrudnionych w wydziale BT 1, a było nas ponad trzystu, był nijaki. Polecenia wydawał przez majstrów, Niemców. Tylko z Buchholzem, berlińczykiem, wdawał się czasem w rozmowę. Innych Niemców z Łodzi nie zauważał. Nie lubili go, ale się bali. Odznakę NSDAP zawsze nosił w klapie.

Herr Schulz płacze

4 lutego 1943 roku. Zebrano nas wszystkich o godzinie 14. Z głośnika wiszącego pod sufitem płynęły znane słowa: *„Das Oberkommando der Wehrmacht gibt bekannt"* — ale tym razem miały inny sens. Zakończyła się bitwa pod Stalingradem. VI armia feldmarszałka Paulusa została rozgromiona, on sam dostał się do niewoli. Płacz i szlochanie zagłuszyły majestatyczne dźwięki „Eroiki" Beethovena.

Jest nas na sali 400 osób, pracowników oddziału BT-1 fabryki zbrojeniowej AEG, którą przed dwoma laty w budynkach fabrycznych Scheiblera przy Wodnym Rynku w Łodzi uruchomili Niemcy. Wśród nas Niemcy — łódzcy volksdeutsche i ci z Rzeszy. Stoimy razem. Czuję na sobie wzrok Gerharda Schulza. Stoi naprzeciw mnie, twarz ma zawziętą. Ten zawsze wyniosły, dystyngowany pan płacze.

Po Stalingradzie większość Niemców, dotychczas wyreklamowanych, poszła na front. Schulz pozostał. Na miejsce tych, którzy odeszli, przyjechali nowi. Przy Wodnym Rynku powstał nowy wydział. Pilnie strzeżony przez żołnierzy Luftwaffe. Obowiązują tu specjalne przepustki. Domyślaliśmy się, że jest to tajne laboratorium przeniesione z Berlina, które pracuje nad nową bronią. Pracą tego laboratorium zainteresował się wywiad AK. Trwała akcja sabotażowa. Mnożyły się aresztowania, przesłuchania w Gestapo. Winnych trudno jednak znaleźć. Są kooperanci, na nich można zwalić winę.

Człowiek z walizeczką

W połowie 1943 roku w biurze warsztatów zjawił się pewnego dnia przygarbiony starszy człowiek, około sześćdziesiątki. Wszedł do pokoju, wszystkim się ukłonił i zajął miejsce przy pustym stole.

— *Nowy pracownik, będzie wypełniał karty pracy tokarzy. Nazywa się Caransky, dobrze mówi po niemiecku* — krótko przedstawił go Schulz i zamilkł.

Bacznie obserwowałem Caranskiego. Nazywał się Zarański, ale już Caranskim pozostał. Pilnie wykonywał pracę, unikał wszelkich kontaktów. Ukończył Politechnikę Gdańską, był zupełnie sam, mieszkał kątem na Widzewie. Nosi ze sobą małą tekturową walizeczkę. Nigdy z nią się nie rozstaje.

Pewnego dnia do biura wszedł „werkschutz" — uzbrojony i umundurowany funkcjonariusz ochrony fabryki. Nie wróżyło to nic dobrego.

— *Caransky, niech pan idzie ze mną, tam na portierni jest ktoś do pana.*

Zarański wstał od stołu, założył mocno sfatygowaną jesionkę i powiedział:

— *Ich bin gereit* — *Jestem gotów.*

Schulzowi nawet nie drgnął muskuł na twarzy.

Po kilku dniach dowódca „Werk-Schutzu", Krybus, tępy hitlerowski żołdak, znający trochę język polski, przechwalał się, jaki to on jest

(Dalszy ciąg na str. 6)

POD WIATR CZY Z WIATREM?

Podczas spotkania z dziennikarzami na początku 1979 r., dyrektor naczelny PŻM — Ryszard Karger powiedział, że około 30 milionów dolarów straciło przedsiębiorstwo w r. 1978 na redach Świnoujścia, Gdańska i Gdyni. Okazało się bowiem, że więcej możemy przywieźć niż wyładować.

(Czytaj na str. 4)

ŚLADEM NASZYCH PUBLIKACJI

·JERZY KATARASIŃSKI·

POD SZYLDEM

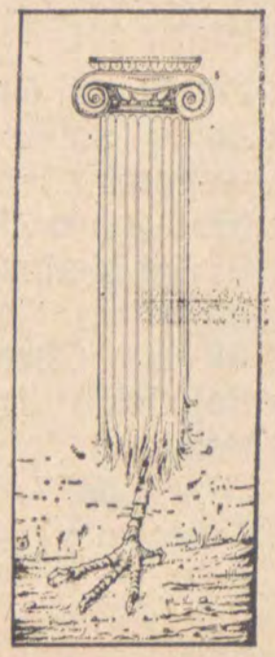

Rys. J. Szymański-Glanc

Statuty takich czy innych organizacji nie należą na ogół do najpopularniejszych lektur. Kiedy więc wskutek zainteresowania się „Odgłosów" działalnością Domu Środowisk Twórczych w Łodzi, chciałem się zapoznać z podstawowym dokumentem stowarzyszenia, do którego (nawiasem mówiąc) od kilku lat należę, musiałem zadać sobie nieco trudu. Ostatecznie wysiłek mój został uwieńczony powodzeniem. Wiem teraz, na przykład, że celem stowarzyszenia jest pobudzanie aktywności społecznej i artystycznej jego członków oraz podnoszenie poziomu ich twórczości i działalności artystycznej. Gdybym nie wyczytał tego wszystkiego w statucie, mógłbym nie wiedzieć, że DŚT pobudza swoją aktywność społeczną i artystyczną, i podnosi poziom mej twórczości i działalności artystycznej; działoby się tak z mojej tylko winy, jako że, jak dotąd, nie stwarzałem Stowarzyszeniu zbyt wielu okazji do zabiegów wychowawczych wobec mojej osoby. Nie wątpię, że mimo takich czy innych potknięć, wspomnianych m.in. w „Odgłosach", DŚT innych swych członków pobudzał i podnosił. Pobudzał, podnosił i integrował, jako że 10 paragraf wspomnianego statutu brzmi: „Integracja różnych środowisk twórczych".

Określone cele i zadania realizować można różnymi metodami i nikt tu nie ma patentu na nieomylność, czy monopolu na rację. Wspomnienie tej prawdy sprawiło, że zakończywszy lekturę statutu puściłem wodze wyobraźni i pofantazjowałem sobie nieco na temat roli i miejsca Domu Środowisk Twórczych w życiu kulturalnym naszego miasta.

Czy, na przykład, DŚT nie mógłby być miejscem formowania się opinii o jakości dzieł artystycznych powstających w środowiskach łódzkich twórców? Czegoś takiego nie ma, jak dotąd, w wyposażaniu kulturowym naszego miasta, a spory i dyskusje na temat obrazów, przedstawień czy książek, pełzają gdzieś bokami, pozbawiając życie artystyczne żywszego tętna. Przecież nie dla kogoś to na ogół bywa, motywacją, która i dla twórcy, i dla odbiorcy mieć może istotne znaczenie? Czy, na koniec, DŚT nie mógłby — właśnie jako miejsce wypracowywania opinii — [illegible] zorganizowanej współpracy z domami kultury, klubami i świetlicami przyzakładowymi, propagując tam znajomość dorobku łódzkich środowisk artystycznych i wzbogacając tym samym program sojuszu świata pracy ze światem kultury?

Stawiałem sobie te pytania w przekonaniu, że wszystkie wspomniane w nich formy działania zgodne są ze statutowymi celami DŚT. Jeśli tak — a nie sądzę bym się mylił — to próbuję zrozumieć, czemu DŚT nie jest jeszcze tym, czym mógłby być z pożytkiem dla środowisk twórczych Łodzi i dla kultury artystycznej Łodzi. Odpowiedź na to pytanie na pewno nie jest prosta, gdyż różne względy — i subiektywne i obiektywne — grają tu rolę. Uporanie się ze słabościami subiektywnymi leży w możliwościach samego Stowarzyszenia, ale z tymi innymi nie da ono sobie rady. A wiadomo na przykład, że kompetentne komórki Urzędu Miasta traktowały DŚT jak placówkę dochodową, zobowiązując do „odprowadzania" określonej planem akumulacji. W takiej sytuacji placówka stawała się przedsiębiorstwem otwartym na wszelkie moralne i materialne niebezpieczeństwa, związane z produkowaniem i sprzedawaniem po całej Polsce rozmaitych imprez.

O tym, jaką sławę i chwałę imprezy te przyniosły i DŚT, i Łodzi, świadczą dowodnie publikowane już w „Odgłosach" materiały. Do tych spraw nie warto już chyba wracać, trzeba natomiast wspomnieć o innych ofertach „dochodowego" traktowania DŚT przez władze: myślę tu o zgoła szczególnej realizacji zasady mecenatu władz wobec środowisk twórczych. Mecenat ten — jedna z fundamentalnych zasad polityki kulturalnej w naszym kraju, polega, między innymi, na świadczeniach ze strony władz na rzecz środowisk twórczych. W odniesieniu do DŚT o żadnych świadczeniach nie było mowy. Przeciwnie.

Wiem, że od niedawna DŚT został zwolniony z obowiązku wypracowywania dochodu na rzecz Urzędu Miasta i z uznaniem myślę o tej decyzji. Myślę jednak, że na niej sprawa nie może się zakończyć, że troska o zdobycie środków na prowadzenie działalności nie może obarczać tylko DŚT, jak to tymczasem jest. Nie uwierzę, że drugiego miasta w Polsce, wielkiego centrum przemysłowego, nie stać na rzeczywiste mecenasowanie instytucji, która może i powinna przyczyniać się do aktywizacji licznego i różnorodnego środowiska artystycznego w Łodzi. Nie trzeba chyba przypominać, że pojawiło się ono w naszym mieście 35 lat temu, czyli wcale niedawno, jeśli zważymy czas potrzebny na formowanie się pewnych tradycji i nawyków w ludzkiej świadomości.

Odbiegłem trochę od rozważań nad statutem DŚT, ale przecież nie tylko statut określa działalność stowarzyszenia. Status tego stowarzyszenia w środowisku jest równie ważny.

EDWARD SZUSTER

CZY NAS NIE STAĆ?

HEJ SOBÓTKA!

Od najdawniejszych czasów najkrótsza noc w roku przez wiele narodów otaczana była wielką zasłoną tajemniczości. 24 czerwca, dzień kalendarzowego przesilenia letniego, jako czas największego przybliżenia Ziemi do Słońca, nosił u starożytnych Rzymian nazwę **solstitum aestivum** (letnie położenie Słońca). Dzień ten wywarł wielki wpływ na świat wierzeń. Rzymianie uważali słońce za potężnego twórcę życia na ziemi, twórcę, którego bliskość zwiększa siłę ziemi, a siła ta przechodzi następnie w rośliny. Wierzono również, że trzy dni przed i trzy dni po tym dniu — to okres, według którego można przepowiedzieć pogodę na pół roku naprzód. Prastare pogańskie święta ku czci słońca, ognia i miłości, obchodzone na wiosnę, pomimo różnych zmian w formie i przystosowaniu się do kalendarza chrześcijańskiego, przetrwały długie wieki, i w szczątkowej formie zachowały się do obecnych czasów. Wpływ starożytności na obrzędy kupalne, zwane również sobótkowymi, jest niewątpliwy. Warron i Owidiusz podają, że **20 kwietnia skakano przez snopki siana zapalonego i zwano to święto Politia na cześć bogini Pales. Owidiusz w swoich Fasti wspomina też O prosie, iż wraz z plackami jaglanymi było ulubionym jadłem bogini Westy** (ku czci której, w jej świątyni, kapłanki bogini — westalki, czuwały nad utrzymaniem wiecznego ognia), której uroczystość (Palilia lub Parilia — święto pasterskie) obchodzono u starożytnych Rzymian 21 kwietnia. Składano wówczas bezkrwawe ofiary w postaci mleka, placków i innych potraw, oczyszczano się przez kropienie i okadzanie siarką, przeskakiwano przez ogień rozniecony ze słomy i siana. Zabiegi te miały oddalić wszelkie choroby od ludzi je wykonujących. Wiara kazała także przepędzać przez niego bydło, co chroniło przed chorobami i złymi mocami. Oświetlanie pól ogniami sobótkowymi miało zapewnić urodzaj. Rozniecano je przy pomocy smoły, gałązek cierniowych, pokrzyw i piołunu. Wierzono, że w ten sposób rozpalony ogień jest czysty i nowy. Po wcześniejszym wygaszeniu ognia „starego", „nowy" zanoszono do chat. Płomień rozpalano na wzgórzach, które jaśniały od licznych ognisk i pochodni, po dopaleniu których chłopcy porywali dziewczęta by ukryć się z nimi w życie. Zwyczaj ten przejęto z dawnego święta miłości.

Legenda głosi też o istnieniu pogańskiego boga **Kupały**, którego sama nazwa (jak podaje **Latopia Gostyński**) jest słowiańskim znaczeniem greckiego przydomka św. Jana Chrzciciela — baptistes — czyli tego, który **kąpie, pogrąża, zanurza, chrzci"**. N. M. Karamazin mówi natomiast o Kupale słowiańskim, bożku płodów ziemskich. Na terenach Polski wigilia św. Jana nazywana jest (zależnie od regionu i tradycji) **Ogniami bylicznymi, Kupalnocką** (nocą kąpieli), **Kołpanocką**, najczęściej zaś **Sobótką**. W obrzędzie tym występuje przeżytek dawnych świąt pogańskich, z których jedno oznacza astronomiczny punkt kulminacyjny (najkrótsza noc w roku), drugie — to święto miłości. Noc kupalna wysuwa się na plan pierwszy przed takimi świętami jak: **Zapusty, Wielkanoc, Zielone Święta**, dorównując prawie wigilii świąt zimowych — 24 grudnia (najdłuższej nocy roku) — **solstitium hibernum** kalendarza przesilenia zimowego.

Noc sobótkowa pełna wróżb, proroctw, dziwów i czarów, przepojona była przepowiedniami przyszłości. Wierzono, że tej nocy zakwita paproć kwiatem o czarodziejskiej mocy, który zapewniał znalazcy szczęście. Inne rośliny również nabierały nadzwyczajnej mocy, głównie leczniczej. Np. bylica miała chronić przed bólami w krzyżu, więc oplatano nią biodra. Ziołami przystrajano dachy chat, okadzano domowe zabudowania zabezpieczając je od złych mocy i duchów. Wierzono także, że tej nocy zbawienne działanie ma rosa na łąkach i woda w rzece.

Zmieniające się w ciągu wieków obyczaje przejmowały część starych form dostosowując je do nowych wymagań. Stąd w naszych obrzędach wyśledzić można wpływy religii antycznych, zwłaszcza świąt ku czci zmarłych, które starożytni obchodzili parę razy w roku. W polskich dorocznych obrzędach i zwyczajach ludowych dominują trzy składniki: formy antyczne, słowiańskie i staropolskie oraz chrześcijańskie, jak również inne drobne, specyficzne cechy regionalne. Początkowy charakter obrzędów z biegiem czasu zmienił swe znaczenie i wraz z przyjmowaniem chrześcijaństwa dawne uroczystości pogańskie zaczynały nabierać nowych treści wierzeniowych.

Słowianie zamieszkujący na ziemiach polskich w czasach pogańskich mieli, tak jak i inne ludy, swój własny kalendarz obrzędowy, i święta wyznaczone porami roku. Święta te nie miały wówczas stałego terminu. Ich celem było zaznaczenie zmian, dokonujących się w przyrodzie, i wywieranie wpływu na plony i szczęście osobiste. Według J. St. Bystronia poświęcone były pamięci zmarłych oraz wiązały się z magią wegetacyjną (ich główną treścią były zabiegi utrzymujące ciągłość wegetacji zbóż, drzew owocowych i płodów ziemi, jak również rozmnażanie). Relikt tych świąt są zwyczaje obchodzone w czasie Zielonych Świątek i w wigilię św. Jana.

Pomimo ciągłej walki kościoła z tradycją pogańską, relikty dawnych obrzędów zachowały się do XX w. samodzielnie, lub jako uzupełnienie nowego obrzędu, związanego z wiarą chrześcijańską. Lud wierzył w skuteczność dawnych zwyczajów i praktyk i dlatego kultywował je przez pokolenia. Obecnie trudno jest dokładnie ustalić, co w zachowanych zwyczajach jest pogańskie, co zaś wywodzi się już z późniejszej tradycji.

Nazwa „sobótka" swe pochodzenie bierze od hucznych sobotnich zabaw odbywających się w najbliższą danemu świętu sobotę. Na wielu obszarach etnicznych Sobótkę nazywano Kupalnocką. Np. na ziemiach z pogranicza polsko-ukraińskiego nazwa ta **(Kupalnocka** lub **Kupalnecka)** prawdopodobnie pochodzi od nazw **kupało** i **kupała** związanych z liturgicznym zwyczajem chrztu przez kąpiel (zanurzenie). Na Mazowszu istniał przesąd, że kąpiel w rzekach przed św. Janem jest szkodliwa. Można więc przypuszczać, że w czasach pogańskich pierwszą kąpiel każdego lata odbywano wraz z przyjściem kupalnocki.

Materiały dotyczące zwyczajów dorocznych polskiej wsi z końca XIX w., zawierają wiele różnych pierwiastków: prapolskich z czasów pogańskich, antycznych — przeszczepionych z dawnego imperium rzymskiego oraz chrześcijańskich.

Wraz z rozwojem nauki i wiedzy, obrzędy i zwyczaje stopniowo zarzucano. Dziś istnieją jedynie siłą nawyku i tradycji, lecz intencje, które je zapoczątkowały, dawno uległy już zapomnieniu.

BOŻENA PELLOWSKA-POLIPOWSKA

Rys. Jan Zieliński

POLONICA KULTURALNE

W Kijowie odbyły się „Dni Krakowa". W imprezie wzięło udział 4 tys. wykonawców, w tym zespoły i soliści z Krakowa.

• • •

W meksykańskim mieście Madero trwają „Dni kultury polskiej".

• • •

Po raz pierwszy na scenach w NRD — w Niemieckim Teatrze Narodowym w Weimarze wystawiona została „Noc listopadowa" Stanisława Wyspiańskiego w adaptacji i reżyserii Andrzeja Wajdy.

• • •

Wśród 10 najwyżej ocenionych utworów na XXVI Międzynarodowej Sesji Kompozytorów UNESCO w Paryżu, znalazły się dwa utwory kompozytorów polskich: „Róża wiatrów" Włodzimierza Kotońskiego, która zajęła trzecie miejsce i „Divertimento" Marka Stachowskiego (siódme miejsce).

• • •

Na Festiwalu Filmowym państw RWPG zorganizowanym w nowojorskiej siedzibie ONZ kinematografię polską reprezentował film „Ziemia obiecana" A. Wajdy.

• • •

Z okazji 35-lecia PRL odbywają się w Nachodzie „Dni Polskie" a w Karlowych Warach „Dni Kultury Polskiej".

• • •

Tadeusz Baird został członkiem korespondentem Akademii Sztuki NRD.

• • •

Telewizja NRD rozpoczęła emisję serialu „Daleko od szosy" reż. Zbigniewa Chmielewskiego.

NAGRODY „WIOSNY POETÓW"

Rozstrzygnięty został ogólnopolski konkurs **„XXI Łódzka Wiosna Poetów"**. Wśród nagrodzonych znaleźli się łodzianie: **Krystyna Kwiatkowska** otrzymała I nagrodę w dziale utworów o tematyce ogólnej; wyróżnienia w tym dziale otrzymali: **Zdzisław Boguszewicz i Roman Gorzelski.** Turniej Jednego Wiersza wygrał Mieczysław M. Szargan.

Trzydzieści lat temu na polach pod Krakowem rozpoczęto budowę Nowej Huty — miasta i kombinatu. Była to największa inwestycja planu sześcioletniego. Była symbolem uprzemysłowienia Polski.

Budowa Nowej Huty skupiła na sobie zainteresowanie całego kraju. Pisali o niej reporterzy, pisarze, poeci. O Nowej Hucie śpiewano piosenki. Dziś jest etapem w historycznym procesie rozwoju kraju, żywym rozwijającym się miastem — dzielnicą Krakowa. 23 czerwca 1979 roku przypadają uroczystości trzydziestolecia Nowej Huty. Z tej okazji prezentujemy wybór fragmentów reportaży pisanych w ciągu tych 30 lat.

Marian Brandys

DWIE DROGI

Do roku 1949 jedynym połączeniem Krakowa miasta ze wschodnimi połaciami powiatu krakowskiego był koślawy trakt regionalny idący na Sandomierz.

Po wyjściu z Krakowa ta kaleka i mało uczęszczana droga przez kilka kilometrów sunęła po linii prostej, lecz w pewnym miejscu uskakiwała tchórzliwie w bok i potulnym unikiem okrążała stary austriacki fort Pszorna, który rozsiadł się czerwonym brzuchatym masywem na jej głównej osi jak bastion broniący słabo uprzemysłowionego Krakowa przed jego wygłodzonym i przeludnionym powiatem. Za fortem trakt znowu wyciągał się w linię prostą i podobny do płowego bezpańskiego psa, co kryje przed wzrokiem ludzkim swój sparszywiały grzbiet, biegł nisko między polami, by po dopadnięciu pierwszej wsi podkrakowskiej z ulgą zaszyć się w jej gęstwę.

Po wyborze wschodniej części powiatu krakowskiego na teren Nowej Huty, wzdłuż starego traktu powiało świeżym porywistym wiatrem.

Od strony Krakowa zaszumiały nagle rozpędzone limuzyny, strasząc do utraty przytomności zaspane kury. Ciężkie samochody terenowe poczęły przeorywać gliniaste błoto drogi. Jacyś nie znani ludzie z miasta, uzbrojeni w dziwne przyrządy, pojawili się przy starym forcie austriackim, opukiwali młotkami jego czerwone mury, fotografowali go ze wszystkich stron i zapisywali w notesach jakieś cyfry.

Nie ulegało wątpliwości, że coś zaczynało się dziać.

Wieś podkrakowska przyglądała się dziwnemu ruchowi przy drodze z mieszanymi uczuciami. W sercach młodzieży, nie mogącej znaleźć dla siebie miejsca wśród przeludnionych chałup, zbudziły się nieokreślone nadzieje. Natomiast bogacze wiejscy, najzagorzalsi obrońcy malowanego pejzażu nędzy podkrakowskiej od pierwszej chwili zwietrzyli niebezpieczeństwo i zajęli zdecydowanie wrogie stanowisko w stosunku do mających nastąpić zdarzeń.

A trzeba wiedzieć, że ta część krakowskiego powiatu wyróżniała się z całej okolicy wprost zwierzęcą niechęcią do Nowego. Tu najdłużej hulały bandy rozmaitych Kruków, Rysiów i Sępów, tu jeszcze w roku ubiegłym bandyci z lasu zamordowali pięciu chłopskich działaczy rewolucyjnych. (...)

Tutejsi kułacy zapamiętali sobie pięć trumien orędowników postępu, które, okryte czerwonymi sztandarami, przedefilowały przez sąsiednie wsie.

Dlatego, gdy od drogi dobiegał szum limuzyn lub warkot terenówek, posępne, złe spojrzenia kierowały się mimo woli w stronę lasu. Ale oświetlony zimowym słońcem las milczał. Był to już inny las — oczyszczony z drapieżników i sprzyjający ludziom. Las wysokich, prostych drzew, z których buduje się jasne, obszerne domy.

Ruch przy starej drodze trwał zaledwie przez parę dni. Wybuchł nagle jak burza i jak burza szybko przeminął. Ale — mimo to — nikt

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY KATARASIŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny) Stale współpracują: IAN BĄBIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, ZBIGNIEW NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI.

Janusz Roszko

na koniu, przy budowie i w birecie

(...) 24 lutego 1949 roku zatwierdzono lokalizację. 29 marca utworzono Przedsiębiorstwo Państwowe Wyodrębnione „Nowa Huta", dyrektorem naczelnym został Jan Anioła.

— *Plan sześcioletni był już właściwie uchwalony. Nowa Huta weszła tam jako novum w ostatniej chwili, trzeba było dla niej wszystko przeredagowywać! To wymagało decyzji kilku ministrów — wchodziło w grę kolejnictwo, drogi, budownictwo mieszkaniowe... I powiem panu, że chyba postępowaliśmy dobrze. Postawiliśmy na „wyprzedzenie", zaczynaliśmy od dróg, od kolei, wreszcie od budowy bloków nowego miasta, żeby budowniczowie kombinatu mieli gdzie mieszkać. Z drugiej strony od razu powołałem wybitnych fachowców na kierowników poszczególnych wydziałów. Nie było wielkich pieców, ale był już kierownik, inżynier Mazanek, nie było zgniatacza, ale był już szef walcowników, inżynier Jaglarz, nie było koksowni, ale funkcjonował już szef, inżynier Homme, od początku prowadzący sprawy dokumentacji we współpracy z radzieckimi projektantami...*

To, że był Wielkopolaninem, synem gospodarza — miało tu wielkie znaczenie. Zawsze wykazywał talenty organizatorskie, odziedziczone po przodkach, którzy tam kiedyś, w Mieszkowych czasach, organizowali

państwo polskie. A tu teraz on miał organizować hutę, owo Gniezno tworzącej się Polski przemysłowej.

Sprowadził żonę i córeczkę, która obecnie uzyskała doktorat w Instytucie Teorii Procesów Metalurgicznych — do Krakowa. Wczesnym rankiem codziennie czekała kawowa pobieda na rogu ulicy Smoleńsk i Retoryka. Właściwie nie miał życia prywatnego, jego życie prywatne to była Nowa Huta. Może byłoby to straszne, gdyby nie niosło z sobą satysfakcji tworzenia, radości sprawdzalnej w krajobrazie...

W tym miejscu można by wpisać w ten życiorys historię narodzin stalowego kolosa — aż po dzień pierwszego spustu surówki z wielkiego pieca nr 1. Wtedy, 22 lipca 1954 roku, był już dyrektorem departamentu w ministerstwie, od kilku miesięcy zaledwie. Ale przybył na uroczystość, aby spojrzeć na swoje dzieło... Zaplanowany przed pięciu laty termin tego spustu — został dotrzymany co do dnia! Potem z napięciem czytał gazety, słuchał, co mówiono w Polsce na temat Nowej Huty. W październiku 1956 roku, gdy wszystko poddawano krytyce, rewizjom. — *Śledziłem uważnie, jedna Nowa Huta się ostała, nie krytykowano tego przedsięwzięcia!* — powie dzisiaj profesor Anioła.

(Z książki *Trzynaście portretów*, Czytelnik, Warszawa, 1976)

Andrzej Makowiecki

skok do junackiej dzielnicy

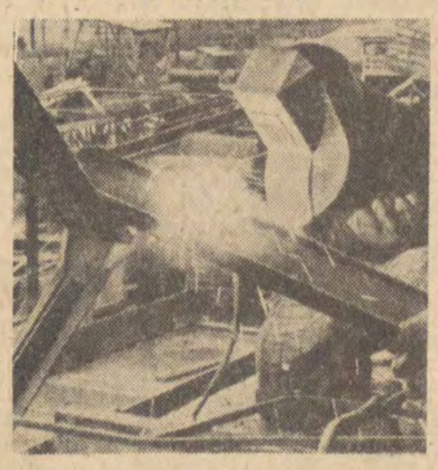

(...) „Czwórka" przejeżdża tory kolejowe, sunie jeszcze dwa przystanki pośród fabrycznych zabudowań, i panorama z wolna ulega przemianie. Zaczyna się coś jakby wieś, ale wieś dziwna, szokująca... Parterowe domki, koślawe stodoły, nieraz nawet chałupy pod słomą na tle nowych bloków, ba, wieżowców. Już, już myślisz, że utrwali się nareszcie wiejski, sielankowy pejzaż, a tu znowu jakaś nowoczesna szkoła, albo zarysy fundamentów wielkiej, bynajmniej nie wiejskiej budowli. I, z biegiem trasy, zamiast przejścia miasta w wieś, następuje... przejście wsi w miasto. Druga połowa Czyżyn, wioski stanowiącej do niedawa jedyną jaskrawą przepaść pomiędzy Krakowem a Nową Hutą, jest już zurbanizowana i uprzemysłowiona, wtopiona architektonicznie w swoją administracyjną dzielnicę, Nową Hutę, która z kolei stapia się coraz bardziej ze swoim administracyjnym miastem, Krakowem. Będąc zatem w Czyżynach — jesteśmy w Nowej Hucie; będąc w Nowej Hucie — jesteśmy w Krakowie.

„Czwórka", najdłuższa linia tramwajowa w mieście, wjeżdża na plac Centralny.

Centrum stopięćdziesięciotysięcznego miasta, którego dwadzieścia lat temu nie było na mapie kraju. Nowoczesna, wielkomiejska dzielnica, którą zabytkowy, snobistyczny Kraków, pomimo administracyjnych przykazań, długo, długo wzdragał się uznać za swoją.

Dlaczego?

Ludzie powiadają:

— *Zła opinia.*

Ta opinia okaże się plotką — jeśli poznasz Nowej Huty dzień powszedni.

Ale można także polemizować z tą opinią sięgając do historii:

W roku 1949 szumiały tu zboża, a kiedy padał deszcz, to kisły w błocie polne, wyboiste drogi. Wiosek parę drzemało wśród pagórków i w dolinie rzeki Dłubni. Pleszów, Mogiła, Ruszcza, Czyżyny i Bieńczyce, zabite dechami, pogrążone w mrocznym zabobonie, który dzielił sprawiedliwie swoje względy między kościół i siły nieczyste. Lud był tu robotny, ale ciemny i uparty, skory do awantur. Prali się nieraz, z byle powodu, Mogilanie z Ruszczanami. Romans Czyżynianki z Pleszowiakiem był surowo, nawet krwawo potępiany. Żadnych mariaży pomiędzy wsiami. Żadnej współpracy gospodarskiej. No, czasami na rynkach albo odpustach dochodziło do wymiany towarów i nieco szczególnej wymiany poglądów, po której płakała rzewnie niejedna rodzina.

Ten odwieczny, wydawałoby się: raz na zawsze ustalony porządek podkrakowskiej okolicy — został nagle zakłócony. W końcu sierpnia czterdziestego dziewiątego roku na polach mogilskich wylądowała pierwsza, nadkontyngentowa brygada Służby Polsce. Była to forpoczta, koczująca aż do pierwszych śniegów pod namiotami, a później w prowizorycznym, wybudowanym własnymi rękami bloku mieszkalnym, gdzie wystawały przez okna zakopcone rury piecyków. Bractwo marzło, głodowało, tęskniło za cywilizowanym światem, ale pracowało w pocie czoła po kilkanaście godzin na dobę i dzięki temu już u schyłku zimy zarysowały się masywne kontury dwóch pierwszych nowohuckich osiedli: „Wandy", i „Willowego".

W kwietniu pięćdziesiątego roku ściągnęło za forpocztą trzynaście innych brygad SP: ponad dziewięć tysięcy młodych chłopaków, nad którymi pieczę sprawowali aktywiści z ZMP, specjalnie do tego celu przeszkoleni na kursach w Otwocku.

O junakach z SP czarna fama krążyła po kraju.

— *Los desperados, wyjęci spod prawa watkonie i łobuzy, dla których ciężka harówa na ustronnej budowie miała być karą za grzechy.*

— *Fałsz!* — powie Zbigniew Cichocki, sekretarz partii w Czyżyńskich Zakładach Przemysłu Tytoniowego, który w owych najpierwszych dniach pełnił nad junkami nadzór. Byli to w większości wypadków ludzie trudni, szorstcy, ale ofiarni, nawet bohaterscy, podejmujący pracę w hufcach ochotniczo. Zjeżdżali się z całej Polski z przekonaniem, że czeka ich tu wielki mozół, ale i wielka przygoda. Wierzyli w to, w co po cichu wątpiło wielu z nas, zetempowskich aparatczyków: że uda się wśród pól i ugorów wybudować stutysięczne miasto, którego piękna wizja rozpływała się uparcie w sielskim krajobrazie.

(...) Chłopi, którzy dobrowolnie godzili się oddać swoją ziemię pod budowę miasta, otrzymywali mieszkania w blokach, pracę i odszkodowania pieniężne.

— *Większość jednak chłopów twardo warowała przy swoim* — mówi Czesław Janik, syn wieśniaczy, student Akademi Górniczo-Hutniczej. — *Odrzucali wszelkie propozycje. Ja się zgadzam, że gdyby ci z SP nie przełamali ich oporu, nie byłoby dzisiaj szkół, szpitali, żłobków, przychodni lekarskich, przemysłu, wszystkiego tego, z czego w dużej mierze korzystają teraz obywatele wiejscy. Ja sam nie byłbym pewnie studentem. Ale wiem jedno: upór chłopski nie tylko się wywodził z bezmyślnej złośliwości. Przecież tu była wspaniała, żyzna, pszenna i warzywna ziemia, do której każdy wieśniak pałał atawistyczną miłością. Trudno się dziwić, że trafiał go szlag, kiedy nocą, na ciężkim śpiku, podjeżdżały mu pod dom albo stodołę cztery espowskie traktory, zahaczały liny o wszystkie cztery ściany, i ciągnęły, każdy w swoją stronę, żeby „oczyścić" plac pod budowę osiedla...*

— *Bo nie było innego wyjścia* — powiedzą weterani z SP. — *Robota nagliła. Tysiące ludzi snuły się bez dachu nad głową.*

Spory, bójki, orka od świtu do nocy; chwile załamań i udręki; a przecież miasto rosło...

W roku 1950 ukończono budowę osiedla „Willowego" i „Wandy". Rozpoczęto budowę osiedli: „Na Skarpie", „Ogrodowego" i „Teatralnego".

W roku 1951 osiedle „Teatralne" zostało przekazane uroczyście społeczeństwu i junacy z SP, pod kierunkiem Przedsiębiorstwa Budownictwa Miejskiego, zabrali się do budowy osiedla „Krakowiaków".

W roku 1952 kładli fundamenty pod pierwszy wielki piec, wznosili osiedle „Szkolne", „Sportowe" i „Górali".

W roku 1953 — osiedle „Stalowe", „Centrum A", „Szklane Domy", „Słoneczne" i „Urocze".

W roku 1954 — osiedle „Młodości", „Centrum" „B", „C" i „D".

W roku 1955 — osiedle „Hutnicze".

— *W tym czasie przerażające swym ogromem założenia, astronomiczne cyfry, które mieliśmy w świadomości lądując tu w czterdziestym dziewiątym, przestały już straszyć po nocach* — mówi Zbigniew Cichocki. — *Jakie to były cyfry?... Jaka praca?...*

Należało przerzucić 9 milionów metrów sześciennych ziemi;

zamontować 200 tysięcy ton stalowych konstrukcji;

wznieść 450 tysięcy metrów sześciennych murów;

ułożyć 100 milionów cegieł;

zwieźć 700 tysięcy metrów sześciennych betonu;

wybudować 150 kilometrów wewnątrzzakładowych torów kolejowych i dróg.

(...) Przeczytać o tym wszystkim, a samemu zobaczyć — wielka różnica.

„Czwórka", najdłuższa linia tramwajowa w mieście, objeżdża łagodnym zakosem plac Centralny i zatrzymuje się na zatłoczonym przystanku.

(Z tomu *Miraże i złoto* Wyd. CRZZ, Warszawa 1970)

Jerzy Lovell

reportaż o historii współczesnej

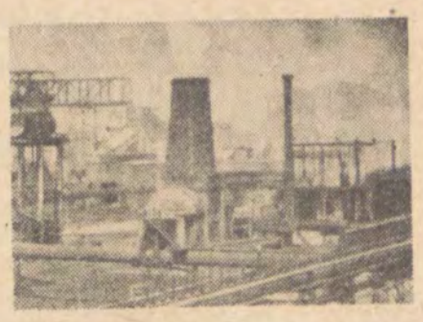

(...) Cyfry przyrostu ludności dzielnicy są szeroko znane i komentowane. Rosły z roku na rok w oszałamiającym tempie: w 1949 roku — prawie zero, zaś w dziesięć lat później, w ostatnim dniu roku 1959 — dokładnie 98,073. Niemal 100 tysięcy! Z tego tylko 10.186 zameldowanych okresowo, a więc jeszcze „na prowizorce", w hotelach robotniczych czy u znajomych; reszta, prawie 88 tysięcy, osiedliła się już na stałe — zamieszkała w domach jak kolorowe klocki olbrzymów, pracuje w przeszklonych bryłach hal, pośród kominów i wież wysokich, jak słupy Herkulesa; chodzi do teatru i kina, kupuje pożywienie, meble i telewizory, płodzi dzieci, których roje uganiają się wśród zielonych skwerów.

Kim są ci ludzie? Odpowiadano z dumą i radością: przeważnie ze wsi, i to najbardziej zacofanych, biednych, przeludnionych. Gdyby ktoś miał wątpliwości — prosimy, oto dokument z roku 1960:

Wykaz
liczbowy osób, które przybyły na teren Nowej Huty z różnych miejsc w Polsce

1. Z województwa krakowskiego

pow. bocheński	2.656 osób
pow. brzeski	2.600 osób
pow. chrzanowski	830 osób
pow. dąbrowsko-tarnowski	608 osób
pow. krakowski	3.778 osób
pow. limanowski	868 osób
pow. miechowski	2.434 osób
pow. myślenieckі	1.370 osób
pow. nowosądecki	1.121 osób
pow. nowotarski	697 osób
pow. olkuski	1.269 osób
pow. oświęcimski	245 osób
pow. proszowicki	1.382 osób
pow. suski	103 osób
pow. tarnowski	1.381 osób
pow. wadowicki	718 osób
pow. zakopiański	183 osób
pow. żywiecki	329 osób

To dane z jednego tylko województwa. A z innych? Z samego województwa rzeszowskiego przybyło 6.290 osób, z kieleckiego — 4.502. Z zagubionych, dalekich powiatów i wsi, ze światów zabitych deskami.

(Z tomu *Wejście w kraj*, Iskry, Warszawa, 1965)

Jacek Stwora

ten wielki blask

Jeśli w hali rozlewniczej opadną na moment tryskające zawsząd gejzery iskier, jeśli podmuch przeciągu rozproszy na chwilę kłęby pary i burego dymu, to z oparów wyłoni się zespół martenowskich pieców, niby kilkupiętrowa budowla spękana i przeżarta pożarem. Wszystko tu — cegła, żelazo i powietrze — jest żółtordzawe i przetrawione w płomieniach.

Piec wrze. Kipi 450 ton gotującej się stali. Na wąskim ganeczku okalającym otwór spustu dwóch drugich wytapiaczy przepala tlenem zapiekłą w otworze skamielinę żużla. Powietrze tężeje w żarze. Gardło pali wyziewy siarki. Mimo ochronnych ubrań spiekota zre ciało i pot paruje z wojłoków.

I wreszcie bucha ten wielki blask. Olśniewająca jasność odbiera wzrok. Lawa płynnej stali rwie dwoma strumieniami przez korytarze rynien i w ognistej poświacie spada potokiem w dół w sklębioną, czerwoną chmurę unoszącą się znad kadzi.

— *Halo, trzeci piec?*

— *Tak.*

— *O której możecie roztopić na trzecim?*

— *Chwileczkę...*

— *Za godzinę roztopicie?!*

— *Obydwie duże kadzie będziesz miał, Józiu.*

— *Dziękuję.*

— *Dyspozytor, słucham, dziesiąty piec.*

— *Spust piętnasta zero zero.*

— *Spust na dziesiątym martenie godzina piętnasta...*

— *Temperatura... piętnaście 85. Jak sadzimy?*

— *Sadzimy na stałą suróweczkę, ruski płyn.*

— *Klawo, dziękuję.*

— *Halo, Zgniatacz, tu Stalownia, mówi dyspozytor. Ogłaszam spust na piecu dziesiątym.*

— *Dziesiątym... godzina?*

— *A co pan na tym Zgniataczu masz taki jakiś głos?*

— *Chrypkę mam jak skurczybyk...*

— *Na piwku się było, co?*

— *Skąd, piwa nawet nie tknąłem...*

— *Ranyściewy...*

— *Piętnasta ile?*

— *Zero zero. 1'585. I to wsio. Końcówka 96. ST trzy SYH. To wszystko. Lecz się pan jakoś.*

— *Halo, słucham was, trzeci piec.*

— *Spust godzina osiemnasta dziesięć.*

— *To pan inżynier Maćkowski przy tym spóźnionym spuście?*

— *Tak, temperatura 1610...*

— *A co było powodem, że tak długo nie mógł przepalić?*

— *Zapieczony magnezyt.*

— *Podają, że żalił trzydzieści minut w otworze spustowym.*

— *Tak, tak, z tej przyczyny właśnie, że było słabe ciśnienie tlenu, ale jest wszystko w porządku, grobli nie ma, ściana jest na otworze czysta.*

— *Spust odbył się poza tym normalnie?*

— *Tak jest, pełnym strumieniem.*

— *Dziękuję, panie inżynierze.*

— *Hala rozlewnicza, pomost numer dwa?*

— *Tak!*

— *Pan mistrz Strzykowski, bo tu pan dyspozytor.*

— *Tu Zieliński, już mistrz Strzykowski leci, wpuszcza zestaw...*

— *Bo tam, Kaziu, nie ma czasu, z parowozem, drze się, żeby go wpuścić...*

— *Dobra, dobra, już wjeżdża...*

— *Słyszałem, żeś go ustawił odpowiednio, od starych byków żeś mu pojechał...*

— *Bo nieraz ma takie zagrania głupie... Ileż on tu czekał? Dosłownie pięć minut, bo patelnie wysypywałem i przyszedłem dać mu klucz.*

— *Ale twój przełożony coś ci tam naubliżał z tego tytułu...*

— *Który mój przełożony? Strzykowski?!*

— *Tak...*

— *Wcale nie, nawet mnie pochwalił, że dobrze robię. Masz go, bo przyszedł.*

— *Słucham?!*

— *Pan mistrz Strzykowski?*

— *No, gadaj!*

— *Ponieważ Walcownia ma mało wsadu gorącego, interesuję się mocno piecem piątym, jak on ci się leje?*

— *Co? Co?!*

— *Piec piąty, jak ci się leje?*

— *No, prawie dobrze...*

— *I kiedy ty widzisz rozlanie tego pieca?*

— *Cztery... osiem... dwanaście... szesss-naście... gdzieś za pół godziny...*

— *A jak to gotuje, dobrze?*

— *To jest uspokojone!*

— *Przepraszam. Poza tym wszystko gra na hali?*

— *Za wyjątkiem Zielińskiego, to wszystko gra, cha, cha...*

— *Postaraj się z tym piątym jak najszybciej i damy go na Walcownię...*

— *Dobra, dobra...*

Telefony. Krótkofalówki. Dalekopisy obracają nieprzerwanie swój młyn.

— *Dyspozytor. Słucham was, hala rozlewnicza!*

— *17'25 rozlał piec piąty. Kadź pierwsza: osiemnaście syfonów, jeden z góry. Kadź druga: dziewiętnaście syfonów, oprócz tego dwa z góry... Kadź pierwsza, zestaw pierwszy...*

— *Tak...*

— *Próba 186 przy wysokości 1'700... na tej wysokości przepaliło, leją...*

— *Tak...*

— *Dalej nie lano.*

— *Słuchaj, zestaw jest nie podlany, pójdzie?*

— *Pójdzie o godzinie osiemnastej.*

— *O godzinie osiemnastej parowóz przysłać i wyciągamy na walce.*

— *Tak jest.*

Tytuł fragmentu pochodzi od redakcji.

Z książki *Nadspodziewany początek bankietu* Wyd. RiTV, Warszawa 1978).

SŁAWOMIR DARZYCKI
POD WIATR CZY Z WIATREM

W roku 1978 Polska Żegluga Morska w Szczecinie — największy krajowy armator — przewiozła przeszło 35 mln ton ładunków na statkach o nośności 3.194.400 DTW, składających się ze 114 jednostek. Plan wykonano w prawie 110 procentach, bo fatalna w skutkach zima zaczęła się od nowego roku, obciążając konto 1979.

Osiągnięto te wyniki, mimo że w 1978 roku szczecińskiemu armatorowi przybyło tylko pięć jednostek: dwa 33,5-tysięczniki, „Feliks Dzierżyński" i „Walka Młodych" oraz trzy małe jednostki po 3 tys. DWT — „Niewiadów", „Lipsk n/Biebrzą" i „Koronowo". Ta ostatnia już nie istnieje, gdyż w połowie marca 1979 roku zatonęła w pobliżu Bornholmu. Aby wiec przewieźć duże ładunki, jak założono w planie, trzeba było skorzystać ze statków obcych bander. Zarobili na tym wcale pokaźne sumy armatorzy z RFN, Wielkiej Brytanii, Francji, Holandii, Szwecji, a nawet Indii czy Grecji. Ale to nie wszystko.

Podczas spotkania z dziennikarzami na początku 1979 roku, dyrektor naczelny PŻM — **Ryszard Karger** powiedział, że około 30 milionów dolarów straciło przedsiębiorstwo w roku 1978 na redach Świnoujścia, Gdańska i Gdyni. Okazało się bowiem, że więcej możemy przywieźć niż wyładować.

Bywało i tak, że na redach naszych portów zablokowanych było około 1 miliona ton towarów. Zdarzało się i tak, że postój na redzie jednostki o nośności 50 tys. ton trwał dłużej, niż jego podróż z Gdyni do Zatoki Meksykańskiej i z powrotem do Gdyni. Przestoje w roku 1978 w sumie były większe w stosunku do roku 1977 o blisko połowę.

Bywało i tak, że przedsiębiorstwa w kraju bezskutecznie dopominały się o zamówione towary. Dowiadywały się, że ładunek już jest, ale nikt nie był w stanie powiedzieć, kiedy odbiorca go otrzyma. Straty z tego powodu rosły w sposób lawinowy. Wystarczy tylko powiedzieć, że statek zarabia wtedy, kiedy pływa, zbyt długie przetrzymywanie niektórych towarów obniża ich jakość, a czasami powoduje nawet całkowite zniszczenie ładunku. Dochodzi nawet do tego, że w przegrzanych ładowniach statków oczekujących na redzie wybuchają pożary, co miało na przykład miejsce na liniowcu „Częstochowa", który zapalił się w styczniu 1979 roku po blisko miesięcznym oczekiwaniu na rozładunek mączki rybnej...

Niewiele zmieniło się pod tym względem w ciągu kilku miesięcy 1979 roku. W zespole portowym Szczecin — Świnoujście tylko w pierwszym kwartale 1979 roku znacznie wydłużone postoje notowano w przypadku 81 statków. W sumie uzbierało się tego ponad 700 dni! Z kolei na redzie Gdańska i Gdyni do sumy 500 dni urosły przestoje 61 jednostek. Straty z tego tytułu wyniosły około 10 mln dolarów.

Czy będzie lepiej? Wszystko wskazuje na to, że tak. Obserwując poczynania szczecińskiego armatora należy sądzić, że jest to optymizm uzasadniony. Przymiarki do 1979 roku czynione były w PŻM od kilku bodaj lat. Przeprowadzono wnikliwą analizę możliwości technicznych i przewozowych floty. Okazało się, że konieczna jest gruntowna kuracja odmładzająca jednostek i znaczne powiększenie stanu posiadania. Na kasację najstarszych i najbardziej wysłużonych statków nie można się było zdecydować, ponieważ ulokowanie zamówień w stoczniach polskich napotykało na poważne trudności. Doszło w końcu do paradoksalnej sytuacji: jeden z największych armatorów na świecie — czyli PŻM — jako absolutnie jedyny eksploatował parowce opalane węglem! To, co dla nas było normalnym środkiem przewozowym, „nabijającym" pracowicie tony do planu przedsiębiorstwa — dla innych byłoby, zdaje się, tylko cennym eksponatem do muzeum...

Podjęto jednak ważną decyzję: skasować wszystkie parowce, a na ich miejsce wprowadzić dużą serię nowoczesnych statków budowanych w stoczniach zagranicznych. Zbadano możliwości wszystkich liczących się stoczni w Europie i zadecydowano, że najlepiej wywiążą się z tego zadania doświadczone zakłady Wielkiej Brytanii. Polsko-brytyjskie przedsięwzięcie żeglugowe okazało się być doskonałym interesem dla obydwu stron. Dla nas — bo w stosunkowo krótkim czasie otrzymamy potrzebną nam ilość statków, a dla Brytyjczyków — bo potężne zamówienie o wartości ponad 250 mln dolarów ograniczy skutki nadciągającego kryzysu w stoczniach. Wyrok na parowce został wydany.

W lutym i marcu 1979 roku pożegnano ostatnie z nich: do stoczni złomowych w Hiszpanii odpłynęły: „Zielona Góra", „Cieszyn", „Szczecin" i „Sławno". Los oszczędził jedynie słynnego „Sołdka", który przekształcony został w statek-muzeum i zakotwiczony będzie przy Wałach Chrobrego w Szczecinie.

„Życiodajna szansa Brytyjczyków". „Kontrakt stulecia" — takimi tytułami opatrywano informacje o porozumieniu pomiędzy PŻM i British Ship Builders — zjednoczeniem upaństwowionych stoczni brytyjskich. Wywołało ono olbrzymie zainteresowanie specjalistów na całym świecie i uważane jest za ewenement w okresie ostatnich, wyjątkowo „chudych" lat światowego przemysłu stoczniowego. Nic dziwnego, jest to również największy kontrakt tego typu podpisany przez stronę brytyjską na przestrzeni ostatnich kilkunastu bodaj lat.

W myśl poczynionych ustaleń, po wybudowaniu wszystkich zamówionych jednostek, staną się one własnością polsko-brytyjskiej spółki żeglugowej i użytkowane będą przez PŻM w ciągu kilkunastu lat, a następnie przejdą na własność polskiego armatora. Budowę tych statków w całości finansuje strona brytyjska, również ponad 90 proc. wartości jednostek składać się będzie z brytyjskich części, materiałów i urządzeń. Pozostałe dostarczy strona polska. Z kraju wyślemy również 10 silników zbudowanych u „Cegielskiego" i w „Zgodzie".

Kontrakt opiewa w sumie na 22 jednostki, z czego 15 będzie miało nośność po 4.400 ton a siedem po 16,5 ton. Pomyślano już o nazwach. Region łódzki reprezentują dwa statki: „Sieradz" i „Wieluń". Oprócz nazw miast nadawane będą imiona przodujących kopalń.

Realizacją zamówienia zajmie się w sumie sześć brytyjskich stoczni: GOVAN w Glasgow (13 sztuk), ROB CALEDON w Dundee (3 sztuki), SCOTT LITHGOW w Glasgow oraz SMITH'S DOCK w Middlesbrough (po 2 sztuki) i AILSA w Troon (1 sztuka). Są to zakłady doświadczone, realizujące oprócz „normalnych" jednostek — bardziej skomplikowane, np. chłodniowce, chemikaliowce, tankowce, kontenerowce, promy pasażerskie a nawet specjalistyczne urządzenia wiertnicze na Morze Północne. Oprócz tego — w ramach kontraktu — przewiduje się budowę 2 portowych dźwigów pływających, które w swojej klasie podwoją aktualny stan posiadania tych urządzeń w kraju. Pozwolą one na lepsze wykorzystanie nie uzbrojonych nabrzeży nowych baz portu w Świnoujściu. Wszystkie statki, budowane w Wielkiej Brytanii, zostaną przekazane do kraju w 1979 roku. W październiku 1978 roku odbyło się pierwsze wodowanie: M/S „Bolesławiec" spłynął na wodę w Glasgow. Za nim poszły inne.

Jednostki o mniejszej nośności przeznaczy się przede wszystkim na obsługę mostu węglowego do Danii — w miejsce „Sołdków". Równocześnie znajdą one zatrudnienie przy przewozie tarcicy do Algierii, cementu do małych portów Nigerii czy kopalniaków do Tunisu. W powrotnej drodze będą natomiast zbierały fosforyty z Maroka i Tunisu — przede wszystkim dla kombinatu chemicznego w Policach.

Podobne zatrudnienie przewiduje się dla 16,5-tysięczników, jednostek o najnowocześniejszej architekturze okrętowej i atrakcyjnych rozwiązaniach konstrukcyjnych. Dzięki niewielkiemu zanurzeniu będą one mogły — jako jedyne w tej klasie — wchodzić z pełnymi ładowniami do portu w Szczecinie czy do budowanego właśnie pełnomorskiego portu w Policach. Wykorzystywane będą także do przewozu cementu do Nigerii oraz węgla do Danii, Francji i Włoch.

Byłoby błędem sądzić jednak, że tylko kontrakt brytyjski dostarczy Polskiej Żegludze Morskiej „świeżej krwi". Konkretne plany przewidują, że do końca roku 1980 ogólny tonaż floty będzie wynosił około 3,4 mln ton, a w następnym pięcioleciu ma wzrosnąć do około 5 mln ton. Mieści się w tym m. in. dostawa dziesięciu masowców budowanych w Bułgarii (a 38.000 DTW) i takiej samej ilości trampów (a 26.000 DTW) pochodzących ze stoczni polskich. Plany te obejmują również kilka jednostek o większym tonażu — po około 40.000 DTW.

Wszystkie te jednostki — łącznie z „brytyjczykami" — są statkami uniwersalnymi, które można wykorzystywać w różnych relacjach, uwzględniając bieżące potrzeby kraju i aktualną sytuację na rynkach świata. Będą wśród nich także i wielozadaniowe chemikaliowce, cementowce do przewozu tego ładunku luzem, a także zbiornikowce do transportu ciekłego amoniaku przewożonego w temperaturze — 40°C.

Wydaje się, że omawiany kontrakt jest najbardziej korzystną dla PŻM formą rozbudowy floty. Nie pociąga ona bowiem konieczności konkretnych wydatków inwestycyjnych. Innym przykładem z tej dziedziny może być podobna spółka zawarta z Norwegami, eksploatująca do niedawna trzy masowce.

Dyrektor R. Karger, o którym z szacunkiem i uznaniem wypowiadają się najwięksi nawet konkurenci, nie tai, że jego ambicją jest stworzenie w stosunkowo krótkim czasie przedsiębiorstwa nowoczesnego, solidnego, samodzielnego i samowystarczalnego, które będzie zdolne do zaspokajania potrzeb polskiego handlu zagranicznego. Powinno ono też w olbrzymim stopniu zahamować odpływ dewiz, które zmuszeni jesteśmy płacić za wynajmowanie obcych statków.

W 1979 roku flota PŻM powinna już w 100 proc. przewieźć importowane zboże z USA i Kanady oraz rudę i ładunki fosforonośne sprowadzane do Polski. Również zboże sprowadzane od wielu lat z Francji i od wielu lat transportowane obcymi statkami — powinno być przejęte przez statki PŻM.

O tym, że nie są to tylko plany i czcze marzenia świadczyć może fakt, iż cumujący w połowie kwietnia 1979 r. — po raz pierwszy w kraju — M/S „Bolesławiec", pierwszy z serii brytyjskiej, w swojej pierwszej podróży do Polski przywiózł z francuskiego portu Rouen duży ładunek zboża.

DOKĄD LECI „SKYLAB"?

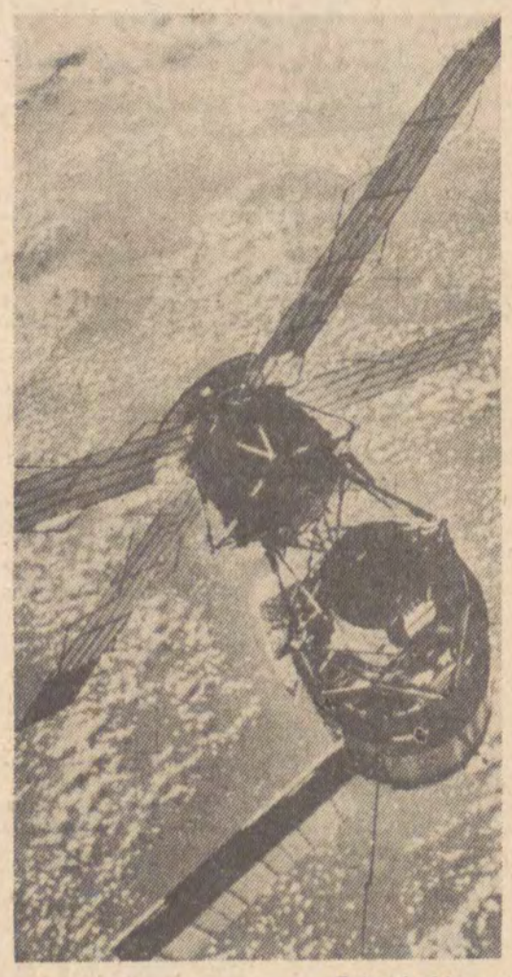

Foto: Archiwum

W stwierdzeniu, że amerykańska stacja kosmiczna „Skylab" zmieniła orbitę, nie byłoby nic dziwnego, gdyby to stało się za wolą ludzi. „Skylab" jednak, który od 8 lutego 1974 roku samotnie obiega Ziemię, zmienił orbitę samoczynnie. Próbowano ustabilizować stację w przestrzeni kosmicznej, ale próby te nie powiodły się. „Skylab" zbliża się do powierzchni Ziemi i gdzieś po 15 czerwca 1979 roku jego resztki spadną na naszą planetę.

Najpierw kilka danych, aby wiadomo było,

CO NAM LECI NA GŁOWY.

Amerykańską stację kosmiczną „Skylab" wystrzelono z Przylądka Kennedy'ego 14 maja 1973 roku. W przestrzeń kosmiczną wyniosła ją rakieta Saturn 5. Stację budowano 4 lata. Wraz z kabiną Apollo waży ona 91 ton. Jej całkowita pojemność wynosi 369 m sześc., a pojemność użytkowa — 324 m sześc. Długość — 36,2 m. Rozpiętość — 27 m. W odróżnieniu od radzieckich „Salutów" ma „Skylab" układ nie szeregowy, w którym poszczególne części stacji następują po sobie i zamykają się w walcu, ale układ rozgałęziony.

W sumie trzy ekipy amerykańskich astronautów przebywały na pokładzie „Skylaba" 171 dni, 13 godzin i 14 minut. Po opuszczeniu „Skylaba" w lutym 1974 roku założono że stacja będzie przebywała w Kosmosie

PRZEZ 10 LAT.

Wprawdzie angielscy specjaliści obliczyli że pozostanie tam tylko przez 6 lat, ale specjalnie się tym nikt nie przejął. Właśnie teraz, po 6 latach, „Skylab" nieubłaganie zbliża się ku Ziemi.

Amerykanie pozostawili spokojnie „Skylaba" w Kosmosie, gdyż liczyli, że do tego czasu, a więc w ciągu 8—10 lat gotowy już będzie prom kosmiczny, którym można będzie polecieć w przestrzeń kosmiczną i albo wysadzić nową załogę albo zamontować silniki korekcyjne, które umożliwiłyby „Skylabowi" zmianę orbity. Stało się jednak inaczej. Już nawet astronauci Fred Haise i Jack Lousma trenowali szczegóły trudnej operacji zamontowania silników korekcyjnych, przygotowując się do jej wykonania w przestrzeni kosmicznej, gdyby prom kosmiczny był na czas gotowy. Niestety, prom nie jest gotowy. Nękają go awarie i kto wie, czy można nim będzie ruszyć w Kosmos przed 1980 rokiem? Tymczasem „Skylab" niebezpiecznie zmienił orbitę i zaczął grozić spadkiem na Ziemię.

Pierwsi

NIEBEZPIECZEŃSTWO

dostrzegli obserwatorzy NORAD — Północnoamerykańskiej Obrony Powietrza, a stało się to w lutym 1978 roku. Natychmiast NASA uruchomiła aparaty kontroli lotu w słynnym Bloku 30, gdzie znajdowały się urządzenia do kontroli lotu na Księżyc. Usiłowano rozłożyć baterie słoneczne, aby prąd elektryczny z akumulatorów mógł poruszyć stabilizatory. Podejmowano kilka takich prób ze zmiennym powodzeniem.

Radzieckie „Saluty" posiadają napęd, co pozwala nie tylko korygować ich orbitę, ale w momencie, kiedy stacja kosmiczna spełni swoje zadanie wprowadzić ją w gęste warstwy atmosfery w takim rejonie, gdzie resztki zetknąwszy się z powierzchnią Ziemi nie wyrządzą żadnej szkody. I tak 5 kolejnych „Salutów" — poprzedników przebywającego w Kosmosie „Saluta-6" spłonęło nad wodami Pacyfiku.

„Skylaba" natomiast nie wyposażono w napęd, choć pierwotnie przewidywano takie urządzenie. Specjaliści NASA uznali jednak, że koszt stacji przez to znacznie wzrośnie, a także, że znacznie przedłuży się czas jej budowy.

Trzeba więc czekać aż

„SKYLAB" WEJDZIE W ATMOSFERĘ,

rozpadnie się, część jego spłonie w gęstych warstwach atmosfery, a część spadnie na powierzchnię Ziemi. Specjaliści z NASA obliczyli, że „Skylab" rozpadnie się na 400—500 części. Niektóre będą zupełnie małe i spłoną. Niektóre mogą ważyć nawet do 2,5 tony i te prawdopodobnie opadną na ziemię w postaci ognistych meteorytów.

Kiedy to się stanie? Ci sami specjaliści z NASA przewidują, że powinno to się stać po 15 czerwca 1979 roku, ale podaje się różne terminy. Jedni uważają, że stanie się to przed 22 czerwca, inni, że w lipcu, a niektórzy, że nawet dopiero w sierpniu 1979 roku. Dokładny czas upadku resztek kosmicznej stacji orbitalnej „Skylab" znany będzie 12 godzin wcześniej.

Gdzie to się stanie? Tego niestety dokładnie nie wiadomo. Specjaliści obliczyli, że „Skylab" wejdzie w atmosferę nad Ziemią w obszarze wyznaczonym 50 st. szerokości geograficznej północnej i 50 st. szerokości południowej. Pas ten obejmuje część Ameryki Północnej, Europy i Azji oraz znaczną część Ameryki Południowej, całą Afrykę i Australię. W Europie północną granicę tego obszaru wyznaczają: Amiens we Francji, Moguncja w RFN, Praga w Czechosłowacji, Wieliczka i Bochnia w Polsce, Kijów w ZSRR. W Azji: Karaganda Ust-Kamienogorsk, Poronajsk na Sachalinie w ZSRR, Ułan Bator w Mongolii.

Ale — powiadają specjaliści — od 60 do 90 procent tej strefy to morza i oceany, pustynie i stepy. Sama strefa zagrożenia w tym pasie będzie miała szerokość 150 km i długość 7 tys. km. Może więc on wypaść właśnie nad obszarami niezaludnionymi bądź nad wodami mórz, czy oceanów. W gruncie rzeczy niebezpieczeństwo jest minimalne. W końcu zdarza się przecież, że na Ziemię spadają meteoryty. Nie boimy się ich, gdyż mniejsze spalają się w atmosferze, a trafienie meteorytu w dom czy jakiś teren zabudowany zdarza się niebywale rzadko.

Mniej optymistycznie wypowiada się w tej sprawie Heinz Kamiński — kierownik obserwatorium astronomicznego w Bochum w RFN. Jego zdaniem, skoro już zrezygnowano z napędu, przy pomocy którego można byłoby utrzymać „Skylaba" w Kosmosie, to przynajmniej należało wyposażyć go w ładunek wybuchowy, który na znak z Ziemi rozerwałby stację kosmiczną na kawałki. Wtedy istniałaby pewność, że jej szczątki spłonęłyby w atmosferze. Obserwatorzy z Ziemi mogliby tylko podziwiać deszcz meteorytów.

Heinz Kamiński uważa również, że amerykańskie rakiety mogłyby zniszczyć „Skylaba" nad Pacyfikiem. Byłoby to też rozwiązanie, które niczym nie zagrażałoby Ziemi. Nie odmawia on genialności budowniczym „Skylaba" uważa, że zastosowali znakomite rozwiązania, ale jednocześnie oskarżył ich w wywiadzie prasowym o głupotę. Głupotą bowiem było — według niego — zaniechanie wszelkich sposobów uniknięcia katastrofy, której skutki są dziś trudne do przewidzenia.

Miejmy nadzieje, że i tym razem wszystko skończy się dobrze i szczątki „Skylaba" nie spadną na żadne z dużych miast świata. A kilka z nich znajduje się w zagrożonej strefie. Tym niemniej warto wyciągnąć wnioski z katastrofy „Skylaba", gdyż w Kosmosie znajduje się ogromna ilość różnorakiego złomu satelitarnego. Na szczęście są to urządzenia nie tak wielkich rozmiarów, niektóre z nich są wszakże napędzane atomowymi bateriami i mogą wymknąć się spod kontroli Ziemi, co już raz się przecież zdarzyło. A wszystko wskazuje, że ludzie będą wysyłać coraz większe urządzenia z wieloosobowymi stacjami kosmicznymi włącznie. Trzeba więc umieć przewidywać ich koniec, aby działo się to pod kontrolą człowieka, który te stacje zbudował, a nie tak sobie, jak to dzieje się ze „Skylabem" który być może nawet wcześniej spadnie niż niniejszy artykuł ukaże się w druku. Zobaczymy.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

TULIPANY ŻYWIĄ HOLENDRÓW

Kiedy pierwsze tulipany przywieziono z Turcji do Europy w XVI wieku, Holendrzy od razu polubili ten kwiat. Dziś hodowla jego cebulek przekształciła się w jedną z bardziej dochodowych gałęzi ekonomiki narodowej tego niewielkiego państwa, leżącego na wybrzeżu Morza Północnego. W wieku rozwoju kompleksowej gospodarki rolnej i coraz szerszego stosowania mechanizacji, hodowlą tulipanów w Holandii, podobnie zresztą jak trzysta lat temu, zajmują się przede wszystkim małe gospodarstwa rodzinne.

1.

Na wybrzeżu, w rejonach na północ i południe od miast Haarlem i Aalsmeer, na tradycyjnych obszarach hodowli cebulek, ponad 80 proc. działek ziemskich nie przekracza 5 ha, a niektóre są nawet mniejsze. Produkcją tulipanów i cebulek, które prowadzi się przez okrągły rok, trudnią się dosłownie wszyscy. Matki i ojcowie, teściowie i dziadkowie, nawet dzieci. Po pracy w polu, holenderski chłopczyk przytulony do matki jadącej na rowerze, wiezie bukiet tulipanów do domu. Na ulicach moc ludzi z kwiatami. Jesienią wszyscy hodowcy z niezwykłą energią pracują na działkach, wiosną krzątają się wokół kwiatów, a latem zbierają plony cebulek. W ubiegłym roku holenderscy farmerzy wyhodowali około 2 miliardów cebulek tulipanów!

W powieści „Czarny Tulipan", poświęconej miłości i intrygom w XVII-wiecznej Holandii, Aleksander Dumas pisał: „Jak wiadomo, była to epoka, w której Flamandczycy i Portugalczycy, rywalizując w hodowli tych kwiatów, doszli dosłownie aż do uwielbienia tulipana i uczynili z tego przywiezionego ze Wschodu kwiatka coś, czego nigdy by się nie ośmielił uczynić przyrodnik z rodzajem ludzkim z obawy przed zazdrością samego Boga".

Pierwsze nasiona i cebulki tulipana trafiły do Holandii w końcu XVI stulecia z Turcji, przez Wiedeń. Francuski botanik, Carolus Clusius, wystarał się o nie przez austriackiego ambasadora akredytowanego przy dworze tureckiego sułtana. Clusiusa nie można było namówić do rozstania się choćby z jedną cebulką. I oto, pod osłoną nocy, zawistni holenderscy hodowcy wykradli je z domu botanika i po kilku latach tulipany zakwitły w całym kraju... Zamożni i przy tym zamiłowani hodowcy kwiatów chętnie płacili ogromne sumy pieniędzy za te kwiaty o niezwykłych kolorach. W latach 1634—37 spekulacja tulipanami przyjęła takie rozmiary, że kraj ocknął się stojąc już na skraju finansowej katastrofy.

2.

Pierwsi europejscy hodowcy tych kwiatów, zafascynowani nowym biznesem, wykryli niebawem, iż zupełnie nieoczekiwanie i nie wiadomo z jakich przyczyn cebulka może wydać kwiat niezwykłego koloru i o fantastycznym rysunku. Ceny na te „nie standardowe" egzemplarze gwałtownie wzrosły. Na przykład jedną cebulkę takiego niezwykłego tulipana sprzedano za 4.600 dolarów!

Rynek, na którym odbywały się te wszystkie możliwe i niemożliwe transakcje i operacje finansowe, doznał gwałtownego wstrząsu: spekulanci kupowali i sprzedawali cebulki, których nigdy nie wykopywano z ziemi. Wielu ludzi zastawiało lub sprzedawało własne sklepy, domy, klejnoty, a nawet narzędzia pracy, byleby tylko skorzystać z okazji, kupić cebulki i zdobyć bogactwo. Niektórym rzeczywiście udawało się robić majątki, ale tylko dopóty, dopóki sprzedawców nie było więcej niż kupujących. W końcu nastąpił krach na giełdzie. Musiał ingerować rząd, podejmując decyzje kładące kres dalszej spekulacji. Od tego czasu pozwolenia na hodowlę tulipanów otrzymują tylko uznani hodowcy kwiatów.

Dzisiejsze tulipany wywodzą swój rodowód od mniej jaskrawych lecz zdrowszych gatunków, uprawianych przez hodowców, którzy nie brali udziału w pogoni za sensacją. Na przykład „Cesarska korona", jeden z najstarszych gatunków hodowanych obecnie w ogromnych ilościach, wywodzi swój rodowód z nasion z roku 1750. Większość spośród 500 kultywowanych obecnie w Holandii gatunków tulipanów, cieszących się ogromnym popytem na rynku krajowym i rynkach zagranicznych, wyhodowano drogą hybrydyzacji już w tym stuleciu.

Na świecie istnieje około 150 gatunków bylin cebulkowych tulipanów, natomiast odmian hodowlanych, otrzymywanych drogą wielokrotnych krzyżowań i selekcji jest aż kilka tysięcy. I na tym polu Holendrzy są bezkonkurencyjni w skali całego świata. „Holenderskie" tulipany są niezwykle zróżnicowane pod względem barwy kwiatów, odcieni kolorystycznych, kształtu i wielkości oraz wyróżniają się szczególnymi walorami dekoracyjnymi. I pomyśleć tylko, że w niektórych krajach azjatyckich cebulki dziko rosnących gatunków tulipanów są przysmakiem tubylców...

„Ogarnięci szaleństwem" — to najbardziej odpowiednie określenie stanu emocjonalnego, w jakim znajdują się holenderscy hodowcy kwiatów, kiedy na wiosnę przygotowują cebulki na sprzedaż. Podczas gdy miłośnika piękna interesuje sam kwiat, profesjonalista stara się otrzymać możliwie najwięcej wysokogatunkowych cebulek. Jeśli główki kwiatu nie ruszać pozwalając jej okwitnąć, to rozpoczyna się proces intensywnego dojrzewania nasion. Dlatego to dopiero po troskliwej pielęgnacji pędów, użyźnieniu gleby i opryskaniu roślin, ucina się ledwie zakwitłe kielichy kwiatów, żeby całą energię wzrostu rośliny skierować na tworzenie cebulki.

3.

Późną wiosną na polach uderzają fantastyczne widoki ogromnych gór ściętych i wyrzuconych na kupę kielichów kwiatów. Farmerzy posypują nimi obory, część idzie na paszę dla bydła, ale całą masę kwiatów roznosi wiatr lub gniją one na miejscu. Jest to znakomity nawóz i treściwa pasza dla bydła.

Gdy hodowcy proponują kupcom nowy gatunek tulipana, to tylko niewielu miłośników tego kwiatu wie, iż na jego wyhodowanie trzeba było co najmniej 20 lat. Żeby stworzyć nowy gatunek, należy przede wszystkim znaleźć odpowiednich „rodziców". Współcześni selekcjonerzy poszukują roślin, które mogą wydać potomstwo o żywych kolorach i niebanalnych odcieniach kwiatów. Poza tym powinny one być niepodatne na choroby, wydawać wysokogatunkowe cebulki, mieć trwałe kwiaty i silne łodygi.

Poczynając od 1967 roku, selekcjonerom stworzono możliwość rejestrowania swoich praw do wyhodowanych przez nich gatunków tulipanów, co jest analogiczne do otrzymania prawa autorskiego. Teraz, kiedy holenderscy hodowcy tulipanów zawierają umowy handlowe z innymi hodowcami, ci ostatni są obowiązani wypłacać im określone procenty za wysadzanie i sprzedaż opatentowanego gatunku tulipana. Oczywiście, jeśli podczas procesu hodowli określonych tulipanów zdarzy się, iż pojawia się nieoczekiwanie całkiem nowy gatunek kwiatu o odmiennych charakterystykach, to taka roślina, jako mutant, należy do tego, na czyjej ziemi wyrosła. Również taką okoliczność bierze pod uwagę prawo.

Imitując przyrodę, hodowcy kwiatów mogą zmusić tulipany do kwitnięcia nawet w pełni zimy. Żeby uzyskać takie efekty, cebulki zbiera się i przetrzymuje w korytach przy temperaturze jaka bywa zazwyczaj w końcu lata. Gdy zalążek kwiatu zamknięty w cebulce osiągnie pewien stopień rozwoju, temperaturę obniża się do określonego poziomu, żeby przyśpieszyć dalszy wzrost cebulki.

4.

Wyhodowane cebulki i świeże tulipany idą na międzynarodową aukcję, odbywającą się w miejscowości Aismeer. Mieści się ona w jednej z największych hal na świecie, której powierzchnia jest równa co najmniej powierzchni 30 boisk do piłki nożnej. Hala — gigant! Każdy kwiat przeznaczony do sprzedaży przechodzi przez jedną z sal aukcyjnych, gdzie eksperci, hurtownicy i kwiaciarze konfrontują oglądany towar. Na aukcjach wybuchają kontrowersje, namiętne dyskusje, a nieraz gorące kłótnie. Nic dziwnego, bowiem ceny są bardzo wysokie, a transakcje idą w dziesiątki i setki tysięcy dolarów. Dlatego też wszelkie spory i nieporozumienia, wynikające podczas zawierania umów handlowych rozstrzyga specjalny sąd. Zasiadają w nim dwaj prawnicy, trzej eksporterzy i trzej hodowcy tulipanów, oni rozstrzygają spór i podejmują odpowiednie decyzje.

Holandia jest dziś największym w świecie eksporterem cebulek kwiatowych tulipanów. Tulipany żywią Holendrów, i to całkiem nieźle.

J. CZECH

„Zawarcie izraelsko-egipskiego traktatu pokojowego może gruntownie zmienić rozłasowanie sił na Bliskim Wschodzie: Izrael i przezbrojony Egipt, przy szerszej pomocy wojskowej Stanów Zjednoczonych i zwiększeniu dostaw broni amerykańskiej, zrównoważą Syrię, Irak i Libię a także Organizację Wyzwolenia Palestyny. Amerykańscy i natowscy specjaliści uważają, iż taki układ sił ustabilizuje się z czasem, jeśli stosunki między Kairem i Tel Avivem pozostaną nadal dobre i jeśli Stany Zjednoczone znacznie zwiększą dostawy broni oraz obecność swego lotnictwa i floty morskiej w tym rejonie.

„Jeśli 6 Flota zamierza korzystać z Hajfy — powiedział pewien znany specjalista brytyjski — to nie widzę powodów, które by mogły jej przeszkodzić w korzystaniu z portu w Aleksandrii". Zdaniem specjalistów, głównym elementem stabilizacji nowego stosunku sił na Bliskim Wschodzie jest przezbrojenie Egiptu. Mówi się w kołach wojskowych, że Egipt poprosił o dostarczenie 300 myśliwców bombardujących F-16 o wysokich parametrach technicznych. Jednakże obecnie samoloty te przeżywają „trudności wzrostu", podobnie jak wszystkie nowe konstrukcje samolotów. Najprawdopodobniej Egipt otrzyma 50 samolotów F-5 łatwych w eksploatacji myśliwców o małym zasięgu działania oraz kilka samolotów F-4. Kair nie otrzyma jednak 600 czołgów, o które bardzo zabiegał.

Chociaż Izrael liczy na znaczne wzmocnienie swego lotnictwa wojskowego, które obecnie ma już na uzbrojeniu samoloty F-15, pragnie także otrzymać w 1980 roku 75 samolotów F-16, czołgi i transportery opancerzone, jak również rakiety klasy „powietrze — ziemia" i „powietrze — powietrze".

W wojskowych kołach Tel Avivu przyznaje się, że Izraelczycy są zaniepokojeni zawarciem porozumienia wojskowego między Syrią i Irakiem oraz obietnicą Iraku o zaangażowaniu co najmniej czterech dywizji w wypadku wojny przeciwko Izraelowi.

Chociaż wykaz egipskich zamówień w zakresie uzbrojenia przewidywał początkowo 300 myśliwców F-16, 2.000 transporterów opancerzonych i 600 czołgów, amerykańskie i egipskie osobistości oficjalne zredukowały ten wykaz, sprowadzając go do „o wiele bardziej skromnych i realnych rozmiarów" — jak określił to pewien urzędnik Białego Domu. Oczekuje się, iż główny akcent w tych rozmowach położy się na dostawę samolotów-niszczycieli, czołgów, łodzi podwodnych, transporterów i myśliwców F-4. Ogólna wartość tych dostaw wyniesie półtora miliarda dolarów.

Z PRASY

W strategicznym planie, USA otrzymają określone wojskowe przywileje, dzięki możliwości korzystania z niektórych niedawno zwróconych egipskich baz lotniczych na Synaju. USA i Egipt rozpatrują także możliwość remontowania amerykańskich okrętów w porcie w Aleksandrii oraz częste wizyty jednostek marynarki wojennej USA w egipskich portach.

Jak powiedział pewien wysoki urzędnik, „zarówno Egipt jak i USA pragną działać ostrożnie... Po wydarzeniach w Iranie byłoby niezręcznie mówić o nowych ważnych porozumieniach wojskowych w tym rejonie z krajem, który chce odgrywać rolę żandarma. Najważniejsze to działać bez pośpiechu".

(„New York Times" — Nowy Jork)

POLSKA — KRAJEM OTWARTYM

Z 90 krajami wszystkich kontynentów rozwija Polska kontakty, wymianę i współpracę kulturalną. Prezentujemy szeroko nasze współczesne osiągnięcia i 1000-letni dorobek kulturalny narodu. Tylko w ub. roku nasze zespoły artystyczne — teatry, orkiestry, zespoły folklorystyczne, estradowe itp. wyjeżdżały ponad 100 razy za granicę. Uczestniczyliśmy w 134 międzynarodowych festiwalach artystycznych i 85 filmowych. W krajach europejskich i pozaeuropejskich zaprezentowaliśmy 339 wystaw artystycznych. Teatry zagraniczne wystawiły 78 sztuk polskich autorów współczesnych. Na różnych kontynentach ukazało się 212 pozycji tłumaczeń z naszej literatury pięknej.

Równocześnie kraj nasz szeroko otwarty jest dla prezentacji osiągnięć kulturalnych innych narodów. Tylko w 1978 r. zorganizowano w Polsce 40 przeglądów poświęconych kulturze 12 krajów. Były to m.in. Dni Dramaturgii i Teatru Bułgarskiego. Dni Rumuńskiej Sztuki Rozrywkowej, Dni Muzyki Greckiej oraz „dni kultur" — tunezyjskiej, irackiej i libijskiej.

W tym samym czasie gościliśmy 483 zagraniczne zespoły teatralne, muzyczne, folklorystyczne i estradowe, 327 z nich zaprezentowało osiągnięcia kulturalne krajów obozu socjalistycznego, 142 przybyło z krajów kapitalistycznych i 14 z pozaeuropejskich krajów rozwijających się. Były wśród nich: zespół baletowy Teatru Opery i Baletu z Permu i Moskiewski Chór Kameralny oraz teatry: im. Majakowskiego z Moskwy i Gorkiego z Leningradu, „Dresdner Kreuzchor" z NRD; zespół baletowy Teatru Narodowego z Pragi; chór i orkiestra radia austriackiego; chór bizantyjski z Aten; teatry Bremy i Hamburga z RFN, Opera Królewska ze Sztokholmu; „The Mourray Dance Company" z USA i szkocka orkiestra narodowa z Wielkiej Brytanii. Kraje rozwijające się reprezentowały: zespół muzyki tradycyjnej z Iraku, Narodowy Balet Tańca Nowczesnego z Meksyku oraz narodowa trupa sztuki ludowej z Tunezji. Na estradach gościliśmy 852 artystów zagranicznych.

Dorobek różnych krajów w sztukach pięknych oraz ich historię kultury materialnej zaprezentowało 260 zagranicznych wystaw. 160 z nich pochodziło z krajów obozu socjalistycznego, 88 z krajów kapitalistycznych i 12 z afrykańskich i azjatyckich krajów rozwijających się.

Czytelnikowi polskiemu udostępniono w tłumaczeniu na nasz język 407 pozycji zagranicznej literatury pięknej, które ukazały się w łącznym nakładzie ponad 11.715 tys. egz. 125 pozycji pochodziło z literatury krajów socjalistycznych, 171 z krajów kapitalistycznych i 17 z krajów rozwijających się.

Na scenach naszych teatrów wystawiono 121 sztuk 91 dramaturgów obcych, przy czym odbyło się 69 premier współczesnej dramaturgii zagranicznej. Czołowe miejsca zajęły dramaturgie: radziecka — 26, francuska — 17, angielska — 16 i bułgarska — 14 premier.

Dużą wagę przywiązujemy do organizowanych w Polsce międzynarodowych imprez artystycznych, stwarzających możliwości konfrontacji twórczych i udostępniających szerokiej publiczności wartości obcych kultur. W 1978 r. odbyły się w Polsce 33 wielkie międzynarodowe imprezy kulturalne. Ponadto sztukę obcą prezentowaliśmy na festiwalach ogólnopolskich i regionalnych. Do największych imprez międzynarodowych, wchodzących tradycyjnie do kalendarza wydarzeń kulturalnych należały: Międzynarodowe Targi Książki w Warszawie, Międzynarodowe Biennale Plakatu w Warszawie z udziałem autorów z 50 krajów, Biennale Grafiki w Krakowie, w którym uczestniczyli artyści z 38 krajów, Triennale Tkaniny Unikatowej i Przemysłowej pn. „Tkanina — Idea — Człowiek" w Łodzi z udziałem twórców z 29 krajów. Licznie obsadzone były też festiwale: festiwal muzyki współczesnej „Warszawska Jesień", międzynarodowe spotkania teatru i sztuki otwartej we Wrocławiu, Międzynarodowy Festiwal Folkloru Ziem Górskich w Zakopanem czy Międzynarodowy Festiwal Filmów Krótkometrażowych w Krakowie.

KRONIKA TYGODNIA

W chwili, kiedy przygotowujemy komentarz do druku, w Wiedniu odbyło się pierwsze spotkanie Leonida Breżniewa z Jimmy Carterem, w chwili natomiast, kiedy Czytelnicy wezmą do ręki ten numer „Odgłosów", **nowe porozumienie o ograniczeniu zbrojeń strategicznych będzie już faktem.**

Wiedeńskim rozmowom radziecko-amerykańskim towarzyszyło przeogromne zainteresowanie i nie sądzi się, choć rok dopiero w połowie, aby mogło się w nim wydarzyć coś większego. Przypomnijmy — jest to pierwsze spotkanie Leonida Breżniewa z Jimmy Carterem, ale dziesiąty szczyt radziecko-amerykański, drugi podpis każdej ze stron pod układem SALT, ale porozumienie to rodziło się siedem lat...

Niezwykle trudno w kilkunastu zdaniach napisać o treści SALT II, o tym, co nowy układ ogranicza z ofensywnych zbrojeń, strategicznych. Z konieczności więc musimy posłużyć się ogólniejszymi sformułowaniami. A zatem: układ ustanawia pułapy strategicznych środków przenoszenia broni jądrowej do 1985 roku i przewiduje ich zredukowanie po obu stronach do roku 1981 o ściśle określoną ilość oraz wyznacza zarys kolejnych rozmów (SALT III), które mają przynieść ograniczenie liczebności broni strategicznych w arsenałach obu mocarstw. W szczegółach układowych sformułowań mogą zorientować się tylko specjaliści, dla niespecjalistów najistotniejsze jest to, że **na drodze tych zbrojeń pojawia się tama, którą świadomie zakładają sobie dwa największe mocarstwa.**

Droga do poniedziałkowego dnia — 18 czerwca 1979 roku była długa i prowadziła zakrętami. Zanim pod układem złożyli swe podpisy Leonid Breżniew i Jimmy Carter — jeszcze we Władywostoku, z poprzednim prezydentem USA, ustalone zostały zasady nowego porozumienia. Ale — jak to już przypominaliśmy na tym miejscu — najpierw z powodu wyborów, a potem dojścia do władzy nowej administracji USA zwlekano z rokowaniami, a nawet podjęto próby wycofania się z przyjętych ustaleń. W tym czasie wygasło pierwsze porozumienie (zawarte w 1972 roku), a równocześnie powstały nowe rodzaje broni. Warto o tym pamiętać właśnie teraz, gdyż **w pełniejszym wymiarze zarysuje się wówczas fakt podpisania SALT II.** Przezwyciężono bowiem trudności i oba mocarstwa, przyjmując na siebie konkretne zobowiązania, okazały wolę uchronienia świata przed wojną nuklearną.

Znaczenie wiedeńskiego spotkania radzieckiego i amerykańskiego przywódców nie sprowadza się jednakże tylko do podpisania omówionego układu. Stało się ono **okazją do dokonania szerokiego przeglądu kluczowych problemów światowych i wytyczenia dróg rozwijania stosunków radziecko-amerykańskich.** O tym, jaki wpływ owe stosunki wywierają na sytuację międzynarodową, możemy przekonywać się od lat. **Związek Radziecki jest rzecznikiem dobrych stosunków ze Stanami Zjednoczonymi** i rozwijania także na tej podstawie procesu odprężenia. Odpowiedzialność za losy świata nie rozkłada się bowiem równomiernie na wszystkie państwa, obarcza ona przede wszystkim wielkie mocarstwa.

Opinia publiczna z nadzieją przyjęła wiedeńskie spotkanie, upatruje w nim impulsu do rozwijania procesu odprężenia i ogarniania nim nowych dziedzin i obszarów.

Radziecko-amerykański szczyt będziemy jeszcze komentować, kiedy wczytamy się w opublikowane teksty, a teraz poświęćmy jeszcze nieco uwagi **wizycie w Polsce premiera Republiki Indii — Morarji Desaia.**

Wizyta ta nastąpiła w roku 25-lecia nawiązania stosunków dyplomatycznych między Polską i Indiami. Byliśmy jednym z pierwszych krajów, który zaraz po odzyskaniu przez Indie niepodległości zapoczątkował stosunki handlowe, a następnie dyplomatyczne. Nasza współpraca systematycznie rozwija się i otwiera, jak to wykazały rozmowy w Warszawie, dalsze pomyślne perspektywy. W wywiadzie telewizyjnym premier Desai nazwał Polskę „prawdziwym przyjacielem". Tym określeniem chciał z pewnością podkreślić, jak bliskie, partnerskie i serdeczne są stosunki między naszymi państwami o odmiennych przecież ustrojach.

Indie odgrywają w świecie znaczącą rolę. „... Jako czynnik stabilizacji i pokoju w świecie, jako współuczestnik procesu odprężenia i rozbrojenia, rezygnacji z wszystkich form gwałtu i przemocy w rozwiązywaniu problemów międzynarodowych", aby posłużyć się słowami Edwarda Gierka. To w Indiach przecież w 1954 roku sformułowano pięć podstawowych zasad pokojowego współistnienia, a kraj ten niezmiennie pozostaje aktywnym w ruchu państw niezaangażowanych.

Wizyta w Polsce premiera Desaia i towarzyszących mu osób służyła nie tylko stosunkom bilateralnym, ale również umocnieniu odprężenia międzynarodowego.

W. SŁAWSKI

spotkanie w hotelu „Hessischer Hof"

Dalszy ciąg ze str. 1

czujny. Zdemaskował ukrywającego się Żyda.

— *A wpadłem na to* — perorował Krybus — *bo zainteresowała mnie ta śmierdząca walizka, którą targał ze sobą. I wiecie, co tam było? Można się uśmiać. Były tam ciepłe barchanowe gacie, barchanowa koszula, ręcznik, kawałek mydła, szczoteczka do zębów i jakieś suchary z czarnego chleba. To był Żyd. Uciekł z getta. Miał fałszywą „palcówkę" — stało tam „Pole". Już mu ciepłe gacie nie będą potrzebne.*

Nazajutrz, udając, że nic nie wiem, zapytałem Schulza, co z Caranskym, czy może chory? Schulz spojrzał na mnie przenikliwe:

— *Er war ein Jude.*

Zrozumiałem. Nie powiedział: „Eir ist ein Jude" — to jest Żyd, lecz: „Er war" — on był...

Przeprowadzka

W sierpniu 1944 roku przeniesiono nas do Kłodzka. Szybki marsz wojsk radzieckich na Zachód spowodował, że Niemcy przystąpili do ewakuacji fabryki. Jej produkcja — zapalniki do bomb, części elektryczne do rakiet V-1, stacje nadawczo-odbiorcze dla okrętów i tajne laboratorium — była zbyt cenna dla hitlerowskiego potencjału wojennego, by z niej zrezygnować.

Kłodzko. W ciągu miesiąca kazamaty tamtejszej twierdzy zamieniono w hale produkcyjne. Wykute w skale jeszcze za Marii Teresy koszarowe pomieszczenia, skutecznie miały chronić fabrykę przed ewentualnymi nalotami nieprzyjacielskiego lotnictwa.

W końcu sierpnia 1944 roku znalazłem się w twierdzy kłodzkiej w jednym pokoju z Schulzem, panną Poppe i starym Scheibe. Nam, Polakom, pachniało już wolnością. Każdy dzień przynosił wieści o walkach na Wschodzie i Zachodzie. Mieliśmy tajny samorząd — organizację, która zapewniała „lewe" dostawy żywności. Represje ze strony policji fabrycznej i Gestapo były mniejsze. Lecz i tu nie obyło się bez ofiar. Na oddziale BT 2, gdzie montowano radiostacje do okrętów podwodnych, wykryto sabotaż. Aresztowano kilka osób. Na Gestapo zamęczony został Jurek Baszkirow, łodzianin, kolega z gimnazjum im. Narutowicza.

Nadeszła styczniowa ofensywa 1945 roku. Dowiadywaliśmy się o wyzwoleniu Warszawy, Łodzi, Krakowa. Walki toczyły się na Śląsku, oblężony był Wrocław. Bernard Schulz nie tracił stoickiego spokoju. Nienagannie ubrany, milczał nadal, tyle że cerę miał teraz ziemistą. Panna Poppe, cicho nuciła psalmy. Stary Scheibe czytał gazety i pomrukiwał: „Nicht gut". Gdy Schulza nie było w pokoju, zwracał się do mnie po polsku:

— *Kto by to przypuszczał, panie Bienkowski. Oj, bardzo niedobrze...*

Pewnego dnia, gdy w pokoju byłem sam z Schulzem, ten odezwał się:

— *Dziś wieczorem będzie rewizja w waszych barakach. Nie chcę, by znów były aresztowania.*

Zatkało mnie. Wybąknąłem tylko:

— *Dziękuję, panie Schulz.*

Wiadomość była cenna. Szybko ukryliśmy w lochach „zorganizowane" zapasy żywności, aparaturę do pędzenia bimbru (nasza waluta), maszynę do pisania, numery gazetki, która ukazywała się systematycznie. Rewizja prowadzona przez Gestapo i policję fabryczną była bardzo szczegółowa. Nic nie znaleźli.

Schulz nadal milczał. Częściej chodził do sali produkcyjnej. Czułem, że chce wiedzieć, z kim utrzymuję bliższe kontakty. Przemówił znów po tygodniu:

— *Fabryka z ludźmi będzie ewakuowana na Zachód do Katzhütte. Myślę, że ta podróż panu i pana przyjacielowi nie odpowiada. Bez dokumentów daleko nie zajedziecie. Dobrze je schowajcie.*

Wyjął z szuflady dwa egzemplarze „Arbeitsbuch", książeczek pracy, bez których człowiek w Rzeszy był niczym. Dla mnie i dla Zdziśka Jańczaka. Mając je, mogliśmy już śmiało uciekać, tym bardziej że znaleźliśmy w nich stempel z napisem: „Fabryka ewakuowana. Zatrudnić w każdym oddziale AEG" i podpis Schulza. Jak to zrobił? On, ten pruski urzędnik z odznaką NSDAP...

Długa to była droga, dwumiesięczna. Przez całe Czechy i Morawy, ale udało się. Wyzwoleni zostaliśmy 1 maja 1945 r. przez Armię Radziecką w Morawskiej Ostrawie.

W Frankfurcie

Przed wejściem do dworca lotniczego oczekuje mnie pani Margarette Möllman z „Unjon Nationes". Trzyma duży biały karton z napisem Herr Bieńkowski. Krótkie powitanie Margarette Möllman okazuje się miłą sympatyczną studentką slawistyki. Polskiego jednak nie zna. Udajemy się do samochodu, który zawozi nas do hotelu „Hessischer Hof", położonego w centrum Frankfurtu. Na stole w moim pokoju karteczka z drukowanym napisem: „Serdecznie witamy w naszym hotelu pana Adama Bieńkowskiego i życzymy miłego pobytu".

Jutro umówiony jestem na godz. 11 w Zarządzie Koncernu AEG — Telefunken. Raz już próbowałem skontaktować się z Zarządem AEG — Telefunken. Przed dziesięciu laty, gromadząc materiały o okupacyjnych losach łodzian przebywających w twierdzy kłodzkiej, zwróciłem się listownie do Zarządu AEG, który wówczas miał siedzibę w Berlinie Zachodnim. Pytałem, czy mógłbym zajrzeć do archiwum firmy z tego okresu i ewentualnie spotkać się z niektórymi pracownikami przebywającym wówczas w Łodzi i Kłodzku. Odpowiedź utrzymana była w uprzejmym tonie. Wyjaśniono mi, że dokumenty z okresu wojny uległy zniszczeniu, natomiast większość ludzi, o których pytam, już nie żyje, a ci, co pozostali przy życiu, są w tak podeszłym wieku, że mają kłopoty z pamięcią. List podpisało trzech członków Rady Nadzorczej koncernu AEG — Telefunken. Zostałem wówczas załatwiony odmownie ale grzecznie. A jak będzie teraz?

Wieżowiec koncernu AEG — Telefunken znajduje się tuż obok nadbrzeża Menu, Teodor-Stern-Kai 1. Kolos ze szkła i betonu góruje nad centrum miasta. Zbudowany przed kilkunastu laty miał być synonimem bogactwa i prężności dwóch firm, które połączone w jedną stały się po Philipsie i Siemensie trzecią potęgą elektrotechniczną w Europie.

Punktualnie o godzinie 11 melduję się w sekretariacie dra Waltera Cipy, przewodniczącego Zarządu Koncernu. Tu przyjmuje mnie dr Witzel, asystent prezesa Cipy. W imieniu szefa przeprasza za jego nieobecność, ale szef od kilku dni przebywa w Berlinie Zachodnim. Obecny jest za to przedstawiciel biura prasowego i reklamy firmy.

— *Nasza firma bardzo interesuje się rozwojem przemysłu elektronicznego w waszym kraju* — mówi dr Witzel. — *Macie duże, wręcz zdumiewające osiągnięcia. Możemy i powinniśmy ściślej współpracować. Od 1968 roku kooperujemy z „Unitrą" w produkcji patefonów, a od 1974 roku w produkcji biało-czarnych telewizorów. To ciągle mało, ale korzyści dla obu stron są bezsporne.*

Dowiaduję się też o produkcji AEG — Telefunken. Wartość roczna produkcji około 14 miliardów marek, z czego dwie trzecie produkują fabryki w RFN, jedną trzecią 30 fabryk AEG — Telefunken w Ameryce Południowej, Północnej i w Azji. Podstawowa produkcja to tzw. biała elektronika — lodówki, kuchnie elektryczne, sprzęty gospodarstwa domowego, radia, telewizory, magnetofony, słowem wszystko dla domu. Dla biur — maszyny liczące, kopiarki, komputery, sętki małych i większych maszyn elektrycznych.

AEG — Telefunken buduje w Ameryce i Afryce elektrownie atomowe. Zajmuje się kompletnym wyposażaniem statków w urządzenia elektroniczne. Buduje fabryki transformatorów. Stacje radiowe. Elektroniczne systemy zabezpieczające na lądzie, morzu i w powietrzu. Wytwarza elektrowozy dla kolei. Ogólna liczba zatrudnionych — ponad 160 tys. osób, w tym 30 tysięcy w firmach zagranicznych należących do koncernu.

Mnie jednak bardziej interesowały sprawy sprzed trzydziestu laty, kiedy AEG przymusowo zatrudniało Polaków.

— *Absorbuje nas teraźniejszość, a myślimy o przyszłości* — oświadczył dr Witzel i dodał: — *Od 5 lat 180 tysięcy akcjonariuszy AEG — Telefunken nie otrzymało ani marki dywidendy. W tej dziedzinie recesja najbardziej dała się we znaki.*

Spotkanie z Schulzem

Następnego dnia dostałem adres i numer telefonu Gerharda Schulza. Wieloletni pracownik AEG, od 7 lat jest na rencie. Mieszka we Frankfurcie nad Menem. Dzwonię wieczorem.

— *Schulz* — słyszę w słuchawce.

— *Dobry wieczór, panie Schulz, tu Bieńkowski z Łodzi, z Polski, były pana pracownik z AEG, nie wiem, czy pan sobie mnie przypomina.*

Chwila ciszy.

— *Bieńkowski taki młody, w okularach? Tak, pamiętam, ale nie wiem, o co chodzi. Skąd pan dzwoni?*

— *Z Frankfurtu, z hotelu, jestem tu przejazdem, niech mnie pan słucha, panie Schulz. Chciałbym się z panem spotkać i porozmawiać.*

— *Rozumiem, że nie przyjechał pan w złych zamiarach. To były ciężkie czasy dla nas wszystkich. Muszę się zastanowić. Proszę podać numer telefonu, zadzwonię.*

Telefon odezwał się następnego dnia rano. Umówiliśmy się w sali recepcyjnej hotelu o godzinie 20.

Poznałem go natychmiast, gdy wchodził do hallu. Wysoki, szczupły, siwe włosy gładko uczesane, lekko tylko przygarbiony, nienagannie ubrany, zamiast krawata — muszka, ten sam Fliegeschulz. Podszedłem do niego. Poznał mnie. W sali recepcyjnej jak zwykle był ruch i gwar. Zaproponowałem mój pokój.

— *Czy będziemy sami?* — zapytał.

— *Oczywiście.*

Miałem przygotowanych kilka butelek „Loewnbräu", piwa bawarskiego. Pamiętałem, że to jego ulubiona marka.

— *Ma pan dobrą pamięć* — powiedział wskazując na butelki, a po chwili dodał: — *Właściwie, nie powinienem przyjąć pana zaproszenia. To były bardzo złe czasy, po co do nich wracać. No, ale minęło tyle lat, teraz świat wygląda zupełnie inaczej. Pana telefon zaskoczył mnie, do północy nie mogłem zasnąć, nasz mnie wspomnienia. Zwyciężyła ciekawość, no i jestem.*

Pokrótce opowiedziałem mu o losach moich i kolegów, których znał, o Łodzi i jej rozwoju, o Kłodzku, które z zaspanego kiedyś, prowincjonalnego miasteczka stało się dużym centrum przemysłowym, turystycznym i kulturalnym. Słuchał uważnie, czasem przerywał zadając pytania.

Opowiedział mi też o sobie. W końcu lutego 1945 roku rozpoczęła się ewakuacja fabryki z Kłodzka do Katzhütte w Turyngii. Znaczna część Polaków uciekła już w Kłodzku. Katzhütte zajęli Amerykanie.

— *Musieliśmy uciekać przed zemstą Polaków, których tu przymusowo przywieźliśmy.*

Schulz, podobnie jak członkowie dyrekcji i kilkudziesięciu specjalistów, został internowany w obozie. Posiedział tam kilka tygodni i został zwolniony. Przesłuchiwany był przez wywiad amerykański, chodziło o produkcję fabryki i prace w laboratorium. Po zakończeniu wojny wrócił do rodzinnego Berlina.

W 1952 roku Schulz uciekł na Zachód. Znalazł się w Hanowerze. Lata „cudu gospodarczego". Pracował w fabryce produkującej radioodbiorniki i telewizory. Później przeniósł się do Frankfurtu nad Menem. Proponowano mu pracę w Brazylii. Odmówił. Jest zupełnie sam, żyje dostatnio, wynajmuje dwa pokoje z kuchnią w willi u rodziny, z którą jest zaprzyjaźniony jeszcze z przedwojennego okresu z Berlina.

— *Panie Schulz* — mówię — *pana stosunek do nas, Polaków, przed trzydziestu kilku laty był dość dziwny. Dlaczego?*

— *Trudno na to pytanie odpowiedzieć jednoznacznie. Przed wojną pracowałem w fabryce transformatorów AEG w Berlinie. Po zajęciu Polski zakłady te zmieniono na zbrojeniowe i przeniesiono do Łodzi. Zawsze byłem i jestem patriotą. Ojciec mój jako feldfebel zginął w 1915 roku właśnie w bitwie pod Łodzią, razem z generałem Litzmannem. Sam zgłosiłem się na wyjazd do Łodzi. Przeszliśmy specjalne przeszkolenie. Dotyczyło ono m. in. stosunku do Polaków. Mieliśmy traktować was jak ludzi niższej rasy, surowo karać w razie niesubordynacji, ściśle współpracować z organami miejscowej policji. W wypadku sabotażu stosować represje.*

— Ale pan widział przecież, co się działo. Wysiedlenia, łapanki na ulicach, aresztowania, obozy koncentracyjne, kary śmierci. Co pan dziś o tym myśli?

— *To był okres wojny totalnej. Wtedy rządzą inne prawa. Polacy mieli ruch oporu, który osłabiał potencjał wojenny Trzeciej Rzeszy. Trzeba było stosować represje, czasem może zbyt drastyczne, ale to była walka z wrogiem.*

— *Ale tym nie można tłumaczyć obozów śmierci i planowej akcji likwidacji Żydów i niszczenie narodu polskiego.*

— *Jestem już starym człowiekiem. Dziś patrzę na te sprawy inaczej. Zbrodniarzom nie wolno wybaczyć. Widziałem likwidację łódzkiego getta. Dochodziły mnie słuchy o tym, co się działo w Oświęcimiu. Myślałem, że w tym jest dużo przesady. A pełną prawdę poznałem później. To był wstrząs.*

— *Był pan członkiem NSDAP. Mimo to w czasie ewakuacji fabryki z twierdzy kłodzkiej okazał pan pomoc Polakom. Co panem powodowało?*

— *Zrozumiałem bezsens tej wojny i krzywdę, jaką wyrządził Hitler narodowi niemieckiemu. Przełomowym momentem była klęska pod Stalingradem. Tam zginął mój brat. W końcu 1944 roku do twierdzy kłodzkiej przywieziono kilku wyższych oficerów Wehrmachtu. Byli podejrzani o udział w spisku przeciw Hitlerowi. W kilka dni później zostali rozstrzelani. To też była zbrodnia. Zacząłem innym wzrokiem patrzeć na was, Polaków. Podziwiałem waszą postawę.*

— *Pamięta pan owo dobrze strzeżone laboratorium w Łodzi? Nad czym tam pracowano?*

— *Był to ewakuowany z Berlina oddział podległy von Braunowi. Pracowali tam młodzi, najzdolniejsi matematycy, elektronicy i fizycy. Robili teoretyczne obliczenia dla broni rakietowej. Zresztą Amerykanie wiedzieli o tym, bowiem po zajęciu Katzhütte natychmiast zajęli laboratorium i zabrali pracowników. Kilku z nich pracowało później u von Brauna w Stanach Zjednoczonych. O tym wszystkim dowiedziałem się później. Jak i o tym, że laboratorium stworzono i rozbudowywano po to, by uchronić przed wysłaniem na front młodych naukowców.*

— *Nie miał pan ochoty jako turysta przyjechać do Polski, zobaczyć, jak ten kraj dziś wygląda?*

— *Nie. Kraj wasz jest rządzony przez komunistów. Jestem wrogiem tego ustroju. Dlatego przebywam tutaj, a nie w rodzinnym Berlinie. Ale nie żałuję, że pana spotkałem.*

I tak nam czas zleciał do północy. Z hotelu wyszliśmy razem. Odprowadziłem kawałek mojego gościa. A później poszliśmy w różne strony.

Nie żałuję, że spotkałem Gerharda Schulza.

ADAM BIEŃKOWSKI

Tutaj (obecnie Zakłady Ema-Elester na ul. Przędzalnianej przy ul. 8 Marca w Łodzi) mieściła się filia AEG Telefunken, w której pracowali bohaterowie reportażu. **Foto. R. Łucyszyn**

MARIA KORNATOWSKA

w poszukiwaniu kształtu rzeczy

Istnieją ludzie trawieni wewnętrznym niepokojem, poszukujący coraz to nowych obszarów samorealizacji, nowych możliwości spełnienia, otwarci na nowe doświadczenia, nowe spotkania, nowe kontakty, ciekawi i niecierpliwi. Ludzie, którym nie starcza jednego, tak krótkiego przecież, życia na urzeczywistnienie wszystkich swoich planów, na dotarcie do wszystkich wymarzonych lądów. Do takich ludzi należał Jerzy Kotowski.

Psychologowie powiadają, że prowincjonalne miasteczka rozwijają wyobraźnię, zdolności twórcze, pasję poznawania i doznawania. Jerzy Kotowski urodził się w roku 1925 w Tarnowskich Górach. Tok normalnej edukacji przerwała wojna. Pracował jako szofer, by zarobić na życie i wstąpił do „Szarych Szeregów", do kompanii AK „Ewa", w okolicach Tarnowa — by walczyć. Po wojnie, w 1948 roku, zaczął studiować fotografię filmową czyli operatorkę na Wydziale Filmowym Praskiej Akademii Sztuk Pięknych. Miał już za sobą wówczas sporo doświadczeń. W 1945 roku pracował jako pomocnik mechanika w Wytwórni Filmowej WP, w 1947 — jako laborant w PP „Film Polski", a w 1946 roku jako... magazynier spółdzielni budowlanej w Brzegu nad Odrą. Do zawodu filmowca dochodziło się wówczas krętymi ścieżkami, niosąc na grzbiecie różnorodny, ale potrzebny i użyteczny bagaż.

Praska szkoła dysponowała znakomitym — jak na owe lata — sprzętem, świetnie wyposażoną wytwórnią w Barrandowie, o mocy produkcyjnej 50 filmów rocznie. Praga mimo minionej wojny była nadal żywym ośrodkiem europejskiej kultury o bogatych tradycjach plastycznych, filmowych i literackich. Młody człowiek pobierał zatem solidną edukację profesjonalną, a zarazem rzucił się chciwie w wir życia artystycznego, nawiązując pierwsze, a jak się potem okazało, płodne i długoletnie kontakty z wybitnymi indywidualnościami czeskiej kultury.

W 1952 roku świeżo upieczony dyplomant sztuki operatorskiej wraca do kraju. Karierę artystyczną rozpoczyna współpracą ze swym starszym kolegą ze studiów, Kazimierzem Konradem, przy kukiełkowym filmie „Michałkowicka opowieść". Film ten zadecydował o jego losie. Jerzy Kotowski pozostał wierny animacji, najpierw jako operator, potem reżyser i scenarzysta. Kiedy w 1957 roku debiutował jako reżyser, miał już na swym koncie parę osiągnięć operatorskich, m.in., „Cyrk" i „Janosik" Haupego, „Kocmołuszek" Sturlisa, „Nowy domek" Teresy Badzian, „Dwie Dorotki" Wasilewskiego (zdjęcia razem z Leszkiem Nartowskim).

Koniec lat pięćdziesiątych przynosi przełom w polskiej animacji. Pojawiają się nowe, znakomite nazwiska: m.in. Borowczyka, Lenicy. Film przyciąga młodych, utalentowanych plastyków o ciekawej wyobraźni. Odrzuca się dominujący dotąd naturalizm rodem z teatrów lalkowych, wprowadza poetycka metaforę i absurdalny humor. Pojawiają się nowe techniki, nowe sposoby widzenia. Materialność tworzywa, bogactwo jego możliwości formalnych, rodzą nowe, specyficzne i niewyrażalne w innej technice treści, nowa dramaturgie. Film animowany przestaje być domeną bajeczki dla grzecznych dzieci. Tworzy własną poezję i własną filozofię.

Nagrodzona na I Przeglądzie Filmów Animowanych w Warszawie „Ostrożność" była próbą przeniesienia na ekran nonsensownego dowcipu „Zielonej Gęsi" — jedynego w świecie całkiem zwariowanego teatrzyku, powołanego do istnienia przez ulubionego poetę owej epoki, Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. Kotowski chciał odnaleźć obrazową formułę, zdolną wyrazić istotę poetyckiego humoru i surrealistycznej wyobraźni Gałczyńskiego. „Zielona Gęś" stanowi jak gdyby leitmotiv jego twórczości. Lalkową poetykę „Ostrożności" szlifuje w „Wystawie abstrakcjonistów" (1958), w „Miłości, zazdrości, nietolerancji", (1966), zrealizowanej wspólnie z Kazimierzem Mikulskim, wprowadza groteskowe maski, zespolone z ciałem aktorów, poruszających się w naturalnej przestrzeni. W 1976 roku jeszcze raz powraca do Gałczyńskiego, realizując „Gdyby Adam był Polakiem".

Od początku sięga więc po teksty ambitne (zarówno dla dorosłych jak i dla dzieci), znaczące, przyciąga do współpracy ludzi utalentowanych, wyróżniających się w innych dziedzinach działalności artystycznej. I tak spośród muzyków w czołówkach jego filmów widnieją nazwiska Jerzego „Dudusia" Matuszkiewicza (właśnie rzeczona „Ostrożność"), Adama Walacińskiego, Zygmunta Krauzego („Horyzont"), Eugeniusza Rudnika, popularnego łódzkiego kompozytora Piotra Hertla, Włodzimierza Kotońskiego i innych; spośród plastyków m.in. Lidii Skarżyńskiej, Kazimierza Mikulskiego (m.in. „W dziesięć minut dookoła świata"), Adama Kiliana („Niebezpieczeństwo"), Bogdana Butenki, Wacława Kondka („Rycerz z Kapadocji"). Plastyka, siłą rzeczy, odgrywała ogromną rolę w jego twórczości, ale muzyka również, intensyfikując fakturami dźwięku materię obrazu. Kotowski traktował film anonimowy jako sztukę z istoty swej syntetyczną, inspirowaną i wzbogacaną przez doświadczenia innych sztuk, ich wielowiekową tradycję i najświeższe eksperymenty. Nalożał nadto do reżyserów, którzy w pełni zdawali sobie sprawę z faktu, że film stanowi owoc współdziałania, rezultat aktywnej i twórczej współpracy zespołu ludzi. Sam pełen ciągle nowych idei i pomysłów animował innych, rozbudzał ich inwencję. Twórczość była dlań nieustającym eksperymentowaniem, nieustającym poszukiwaniem nowych technik, nowych sposobów, nowych tworzyw, nowych obszarów tematycznych. Fascynowały go nie wykorzystane jeszcze, a przeczuwalne możliwości. Nie trzymał się nigdy określonego stylu, określonej poetyki. Nie lękał się ryzyka, ani ceny, jaką często przychodzi płacić za niespokojne i niecierpliwe poszukiwania. Należał do tych, dla których sztuka jest wspaniałą i porywającą przygodą, pełną nadziei i obietnic, wędrówką w nieznane. Dlatego proces tworzenia bywał dlań często bardziej pasjonujący niż ostateczny rezultat.

Realizował publicystyczne plakaty o problematyce społecznej: „55 miliardów" — o alkoholizmie; „Brzytwą po szkle" — o chuligaństwie, oparty o wiersz Majakowskiego kolaż najwiązujący do tradycji rewolucyjnej plastyki radzieckiej lat dwudziestych; antyfaszystowski, surrealistyczny „Cień czasu" według scenariusza Afanasjewa; przewrotną wersję legendy o św. Jerzym „Rycerz z Kapadocji", z piękną stylizowaną plastyką Wacława Kondka aforystyczny i błyskotliwy, z czarnego humoru rodem. „Książka twój przyjaciel". Nie rezygnował oczywiście z twórczości dla dzieci. W latach 1964—68 powstało dziesięć odcinków serialu o przygodach Gapiszona. W początkach lat siedemdziesiątych kilka filmów rysunkowych z cyklu „Przygód kapitana Ali", według książki „Menażeria kapitana Ali". W 1978 roku, wspólnie z żoną, Aliną Kotowską, brał udział w wielkim międzynarodowym przedsięwzięciu, organizowanym pod egidą UNICEF i UNESCO. Był to pełnometrażowy film złożony z 10 epizodów, realizowanych przez filmowców dziesięciu różnych nacji, a ilustrujących dziesięć zasad Deklaracji Praw Dziecka. Muzykę do całości napisał słynny włoski kompozytor filmowy, Nino Rota, zaś dochód z rozpowszechniania przeznaczony został na potrzeby UNICEF. „Dzieci są nasze" — epizod wykonany przez Kotowskich — wyróżniał się koncepcją artystyczną i sprawnością warsztatu.

Różnorodności tematów towarzyszyła różnorodność form. W filmie „W dziesięć minut dookoła świata" Kotowski stosuje kontur materialny w przestrzeni, czyli płaską laleczkę z drutu powlekanego plastikiem, dającą w rezultacie ciekawe, jakby graficzne efekty. Podobną zasadę powtórzył w „Swiecie w operze". W „Niebezpieczeństwie" — pierwszym w Polsce panoramicznym filmie animowanym — tworzy wizję sci-fi przy pomocy szkła, metalu i plastiku. W „Sputnikowym westernie" animuje we wspaniałej kosmicznej przestrzeni dziecinne zabawki — zyskujące nagle fascynujący, tajemniczy wymiar. W „Horyzoncie" łączy fotografię dokumentalną z animacją przedmiotu — ściśle mówiąc — złomu żelaznego. W rezultacie powstał film o materii, o chaosie i wyłaniającym się z niego ładzie form. W „Joasi i smoku Tomaszu" nawiązuje do skrótowej, umownej plastyki komiksu. Nawiasem mówiąc, ten ostatni w dorobku reżysera film, oparty został na scenariuszu i projektach palstycznych włoskiej spółki Francesco Testy i Christine Lastrego, autorów popularnego i szalenie zabawnego komiksu dla dzieci o przygodach Giovanny czyli Joasi. Film otrzymał najwyższy w Polsce laur w dziedzinie animacji — nagrodę im. Zenona Wasilewskiego.

Kotowski związany był z łódzkim „Semaforem" od początków istnienia tej wytwórni, współpracował też sporadycznie z WFO. Tu, między innymi, powstał interesujący film o znanym malarzu i najbardziej chyba malowniczej postaci naszego miasta: „Konstantego Mackiewicza życie, sny i marzenia". Rzecz przekracza stereotypowe ramy filmu o sztuce. Ukazuje przenikanie się sztuki i życia, wielość odbić, punktów widzenia i zapisów realności, stawia pod znakiem zapytania realizm nie tylko malarstwa Mackiewicza, ale i kamery rejestrującej „obiektywny" kształt świata. Rzeczywistość (na przykład pracownia malarza) odsłania przed nami swoją artystyczną strukturę, swój formalny ład i kompozycję. Obraz odkrywa relacje ukryte w naturze. Różne odbicia świata i ludzi, od odbić w lustrze do odbicia w soczewce obiektywu, nakładają na siebie, poszerzając wrażliwość, wzbogacając świadomość odbiorcy.

Nie wszystko, co już było pomyślane i zaplanowane, zdążył zrealizować. Zostały scenariusze i projekty. M.in. projekt scenariusza wg Afanasjewa „Świat XY" — surrealistyczna fantasmagoryjna wizja ludzkiego wnętrza, świata psychicznych przeżyć i doznań; „Lustro" albo „Da capo al fine" — scenariusz oryginalny w stylu Hitchcocka o zbrodni doskonałej — stwarzający pole dla zabawy technicznej i gry tricków; projekt adaptacji „Achillesa i panien" Swinarskiego. Największym wszakże dokonaniem, przygotowywanym długo i starannie, traktowanym jako dzieło życia miała być adaptacja „Balu manekinów" Bruno Jasieńskiego. Koncepcja scenariusza oparta została na materialnej opozycji między fizyczną doskonałością i urodą sztucznych manekinów, a ułomnością i brzydotą ciała ludzkiego.

Aktywność Jerzego Kotowskiego wyrażała się nie tylko w działalności artystycznej. Był pedagogiem, organizatorem, działaczem społecznym. Od 1953 roku pracował w Szkole Filmowej, zrazu jako asystent na Wydziale Operatorskim, w latach 1966—67 pełniąc funkcję prodziekana Wydziału Reżyserii, w okresie 1968—72 — protektora i rektora Uczelni, a od 1969 roku do dni ostatnich — kierownika Zakładu Filmu Animowanego i Technik Specjalnych. Siedziba zakładu była ulubionym w szkole miejscem spotkań i dyskusji. Ściągali tu najrozmaitsi ludzie — plastycy, aktorzy, poeci. Przyjeżdżali z Krakowa słuchacze Pracowni Filmu Rysunkowego tamtejszej ASP. Powstało tu sporo filmów, zrodziło się mnóstwo projektów i idei, dojrzało parę talentów. Pod opiekuńczymi skrzydłami Kotowskiego stawiali swe pierwsze kroki — Stefan Schabenbeck i Henryk Ryszka, Ryszard Kuziemski, Krzysztof Nowak. Jak zwykle inspirował, zachęcał, radził, pomagał. Dzięki jego pomocy mogli wystartować w profesjonalnej produkcji m.in. Józef Robakowski, Ryszard Waśko, Krzysztof Krauze, Janusz Połom. Jeden z najbardziej doświadczonych realizatorów — wywarł ogromny wpływ na uformowanie się kadry animatorów i twórców Semafora. Ktokolwiek zwracał się do niego z prośbą o pomoc lub radę, nigdy nie spotkał się z odmową. Nikomu wszakże niczego nie narzucał, był wyjątkowo tolerancyjny w stosunku do innych. Miał wielu przyjaciół w kraju i za granicą, gdzie ceniono go wysoko. Umiał — rzecz rzadka — pielęgnować te przyjaźnie.

W okresie swego rektoratu starał się urzeczywistnić model uczelni dynamicznej i otwartej. Chciał z niej uczynić ośrodek życia artystycznego i kulturalnego Łodzi, chciał by obecność szkoły i środowiska filmowego miały znaczący wpływ na charakter i klimat miasta. Z drugiej strony uważał, że możliwość „wyjścia w społeczeństwo", aktywnego uczestnictwa, stworzy nowe perspektywy dydaktyczne i wychowawcze. Rozbudował teatr szkolny z myślą otwarcia go dla publiczności, zamierzał ze studenckiej kroniki filmowej uczynić zapis łódzkiej codzienności, pragnął zrealizować projekt stworzenia w Łodzi Muzeum Sztuki Filmowej (ostatnimi czasy współpracował blisko z dyrektorem Muzeum Historii Miasta Antonim Szramem w gromadzeniu zbiorów filmowych), walczył o utworzenie przy szkole łódzkiego zespołu filmowego. Starał się nawiązywać ścisłe i owocne kontakty z przedstawicielami innych środowisk twórczych. Sprzyjał różnorodnym inicjatywom. Dzięki jego poparciu powstał w 1970 roku Warsztat Formy Filmowej skupiający pod kierownictwem Józefa Robakowskiego młodych zapaleńców eksperymentu i awangardy, poszukiwaczy nowych dróg rozwoju sztuk wizualnych. Zagwarantowano owym zapaleńcom pieniądze i możliwości produkcyjne. Działalność warsztatu wykroczyła daleko poza mury szkoły na Targowej, integrując rozmaite poczynania artystyczne.

Sam duch niespokojny i poszukujący, Jerzy Kotowski rozumiał poszukiwania i niepokoje innych. Rozumiał sens wewnętrznej potrzeby wypowiadania się w sztuce, potrzeby, którą mogą odczuwać ludzie nie posiadający odpowiednich dyplomów i kwalifikacji. Jedną z bardzo pięknych postaci zrośniętych silnie z życiem szkoły był nieżyjący już Wacław Antczak, amator opętany ideą sztuki, poeta, aktor, skrzypek — odkryty ongiś przez Marka Piwowskiego człowiek o dużej wrażliwości i niecodziennej wyobraźni. Kotowski chciał mu dać jedyną w swoim rodzaju szansę. Antczak (przy pomocy członków warsztatu) mógłby zrealizować jeden ze swoich scenariuszy, opiewający romantyczną miłość chłopca i dziewczyny, a zatytułowany „Królewicz i królewna".

Zasługi Kotowskiego w dziedzinie nawiązywania i rozszerzania kontaktów międzynarodowych Szkoły Filmowej były znaczne. Między innymi to on właśnie był autorem idei zorganizowania w Łodzi Międzynarodowego Festiwalu Etiud Studenckich połączonego z Kongresem CILECTu; z jego inicjatywy grupa wykładowców szkoły — praktyków filmowych, podjęła pod kierunkiem Henryka Ryszki próbę stworzenia podwalin szkolnictwa filmowego i kinematografii w Gwinei. Nieprzypadkowo zresztą jako członek Rady Administracyjnej ASIFA (Międzynarodowego Stowarzyszenia Filmu Animowanego) zajmował się sprawami międzynarodowych stosunków, wymianą informacji i dokumentacji. Był przeciwnikiem wszelkiego zasklepiania się, zaściankowości, prowincjonalizmu. Instynktownie nie znosił zastoju i bezruchu, walczył z inercją, działał, zmuszał innych do działania. Usiłował stworzyć przy pracowni plastycznej MDK coś w rodzaju studium animacji dziecięcej, pragnął przeobrazić Dom Środowisk Twórczych w autentyczne miejsce spotkań twórców i łódzkiej inteligencji. Pewne rzeczy udało mu się siłą woli i uporu przeforsować. Ostatnio wspólnie z Henrykiem Ryszką opracował program dwuletniego podyplomowego Studium Reżyserii Filmu Animowanego przy Szkole Filmowej.

Śmierć zupełnie absurdalnie przerwała to życie tak intensywne, tak zwrócone ku przyszłości, tak zdawało się niezmożone w swej witalności.

Foto: Archiwum

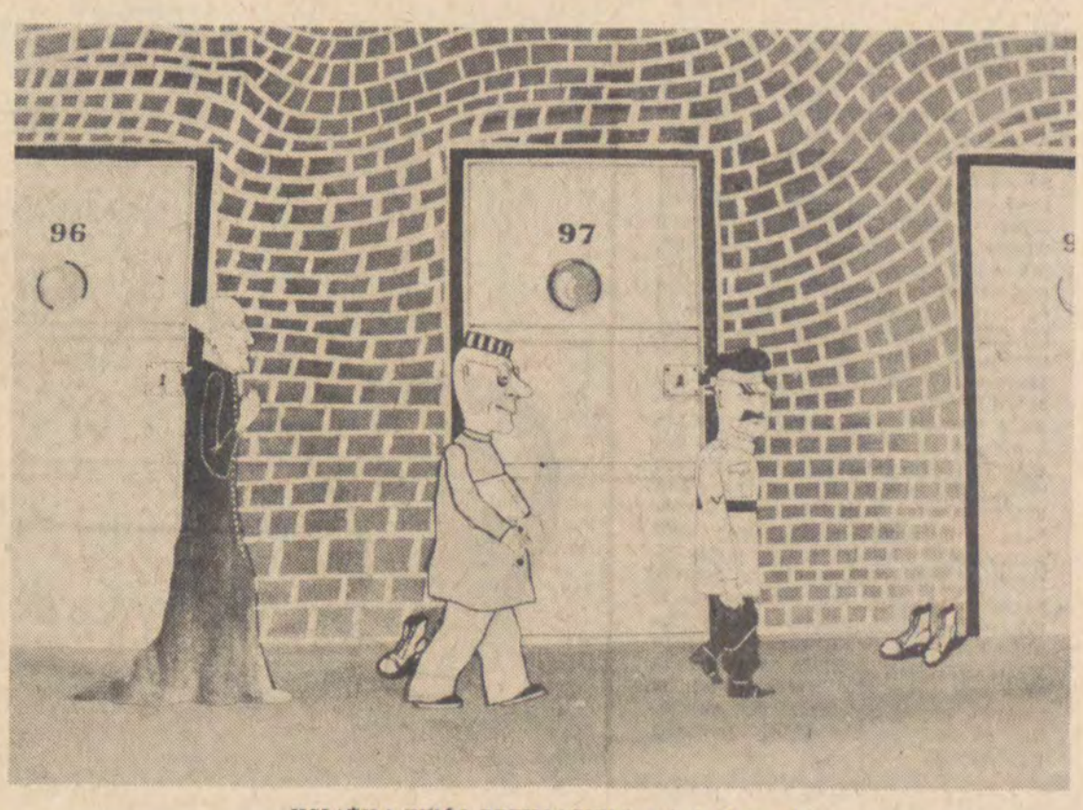

„KSIĄŻKA TWÓJ PRZYJACIEL", reż. J. Kotowski

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

(2)

WOLA POROZUMIENIA

W literackim spojrzeniu na współczesne obyczaje nie brakuje ujęć satyrycznych — dostarczają ich opowiadania Jana Huszczy (np z tomu „Piękne życie dorosłych"), „Opowiastki współczesne" Tadeusza Gicgiera czy niektóre utwory Włodzimierza Krzemińskiego. Satyra to nie tylko prześmiewanie się z siebie i innych. To również wskazówki dotyczące naszego postępowania. I taka wskazówką zaczerpniętą z opowiadania „Świata w sam raz" Jana Huszczy chciałbym zakończyć uwagi o naszych dzielnych obyczajach:

„Gdy myślę o socjaliźmie, to myślę przede wszystkim o wspólnym stwarzaniu sytuacji, w których dla każdego człowieka będzie możliwość świata w sam raz. Domek czy mieszkanie z dźwiękochłonnymi urządzeniami, odpowiednia praca, chleb, książki lub płyty, naturalne kwiaty, nie zatruta woda w rzekach, w jeziorach, A o czyjąś miłość, o dwóch albo o trzech przyjaciół — o to trzeba już samemu zabiegać. Tego nie da nikomu żaden system społeczno-ekonomiczny. Podobnie jak trzeba samemu w sobie wywołać i wyrobić jakieś absorbujące, indywidualne zainteresowania, bez których nie da się wyobrazić życia, jeśli nie ma ono zostać przepite (...). A gdy myślę o ludziach jako o poszczególnych osobach, to zawsze będzie w nich coś z tych dwunastu Leśmianowskich braci z wiersza «Dziewczyna». Nie wyobrażam sobie bowiem ludzi w ich pełnych wymiarach bez smutku po czymś i bez tęsknoty do czegoś, czego egzystencja nie zaspokoi. Byle tylko nie wyruszano na krwawe podboje!"

IV

Polityka to nie jest marzycielska rzecz

(Stanisław Wyspiański)

Jerzy Ziomek, pisząc kilkanaście lat temu znany artykuł „Powieść polityczna — powieść o polityce" stwierdził autorytatywnie, iż współczesna powieść polityczna jest niezapożyczoną znikąd właściwością literatury polskiej. Problematyka przemian społecznych mechanizmów władzy, awansu klasy i jednostki rzeczywiście często w minionym trzydziestopięcioleciu niepokoiła naszych twórców Ale z reguły nie były to powieści w ścisłym sensie współczesne. Zbyt wyraźnie bowiem objawiała się wygodna skądinąd skłonność do posługiwania się kostiumem historycznym, zbyt często autorzy wyczekiwali na odpowiedni dystans czasowy. Cecha ta widoczna jest i dzisiaj. „Pole niczyje" Zbigniewa Safjana, „Akropol" i „Ucieczka" Jerzego Putramenta świadczą o tym wymownie.

Polityka jest — jak wiadomo — dziedziną, która nie znosi próżni i za ułatwione uznać należy twierdzenie niektórych krytyków (choćby niedawną wypowiedź Zbigniewa Irzyka w „Królestwie literatów"), że w chwili obecnej istnieje jakoby zmniejszenie zapotrzebowania na powieść polityczną. Nie zgodzić się z tym poglądem — to dopiero jedna strona medalu. Strona druga, nieporównywalnie trudniejsza, polega na określeniu przyczyn braku powieści politycznej na czytelniczym rynku. Jest ich z pewnością kilka. Zacząć wypada chyba od wyrażenia obawy, czy powieść polityczna nie przeżywa mimo wszystko pewnej dewaluacji? Straciła przecież na znaczeniu, skoro nie raz zdążyło się już okazać, że o mechanizmach polityki równie dobrze jak realistyczna powieść polityczna mówić mogą całkiem różnorodne utwory literackie. Jednocześnie wiąże się to z coraz bardziej dostrzegalną niechęcią większości naszych pisarzy (czy mówiąc delikatniej — nieumiejętnością) podejmowania politycznego tematu współczesnego. A przecież idealną powieścią polityczną byłaby z pewnością rzecz przedstawiająca w sposób fabularny konkretne wydarzenia polityczne, ukazująca mechanizmy podejmowania decyzji przez jednostki mogące wywrzeć wpływ na kierunek owych wydarzeń, jak również przedstawiająca jednocześnie wpływ tych samych wydarzeń na losy jednostek posiadających w tej materii znacznie mniej do powiedzenia. Dodajmy, że idealną byłaby jedynie wówczas, gdyby spełniała postulat wyraźnej aktualności i ukazywała sprawy żywe, trwające, nie zakończone Prawdziwe powodzenie powieści politycznej gwarantują bowiem tylko takie realia. Rejestr przyczyn można niewątpliwie rozszerzyć. Jakiekolwiek by zresztą one nie były, brak aktualnych powieści politycznych literatura polska zastępuje w sposób, nazwijmy to tak, rozczłonkowany: w miejsce powieści politycznej funkcjonuje kilka typów utworów (przede wszystkim tzw. powieść sekretarska oraz tzw. powieść dyrektorska) w pewnej mierze przejmujących na siebie zwyczajowe obowiązki powieści politycznej.

Jeśli chodzi o środowisko łódzkie obowiązki owe przejęły w ostatnich latach książki: „Linia" Jerzego Wawrzaka, „Wypadek" Wacława Bilińskiego, „Dożynki w mieście" Ryszarda Miernika, a także „Wędrówki zimą i latem" Edwarda Szustra.

Zasadniczy problem „Linii" sformułować można następująco: jak pogodzić prawo do osobistego szczęścia z pełnym oddaniem społeczeństwu? Szkicując akcję tej powieści wykreślał autor zarazem linię, stanowiącą barierę bezpieczeństwa dla człowieka uczciwego, tę granicę, po przekroczeniu której moralność staje się pojęciem tyleż względnym, co niewygodnym. Michał Gorczyn, pierwszy sekretarz Komitetu Powiatowego, uwikłany jest nie tylko w politykę, uwikłany jest w konflikt obyczajowy, który to konflikt w konkretnych warunkach nabiera nowych barw, zaś problem odpowiedzialności wykracza zdecydowanie poza sferę osobistą. Bohater „Linii" jest oddanym działaczem, ale przecież nie jest działaczem idealnym, tylko żywym człowiekiem, a więc stara się żyć pełnią życia. Wawrzak przyznaje działaczowi politycznemu prawo do korzystania z pełni życia, uświadamia jednak, że nie jest to ani prosta, ani łatwa sprawa.

Za kanwę „Wypadku" posłużyła konfrontacja działaczy reprezentujących dwa pokolenia, dwa odmienne style pracy. Biliński wnikliwie analizuje mentalność ludzi związanych z polityką, jest to analiza wielowymiarowa — sprawy osobiste grają w niej rolę na równi z motywacjami ideologicznymi. Autor „Wypadku" pokazuje dobitnie, że właśnie w polityce najmniej liczą się sentymenty, jedyną wymowę posiadają fakty, że kochać ojczyznę można różnie i na rozmaite sposoby dla niej pracować. Czy prawdziwe zaangażowanie jest wymierne i jak je w istocie mierzyć — oto pytanie, na które odpowiedzieć musi czytelnik samodzielnie, autor dostarcza mu jedynie przesłanek.

Choć literatura — z różnych zresztą powodów — nie potrafi dotrzymać kroku polityce, ani w pełni zaspokoić w tym względzie potrzeby czytelnicze, nie dopuszcza przecież do powstania luki. Brak klasycznej powieści politycznej, mówiącej o decyzjach podejmowanych na najwyższym szczeblu, zastępowany jest utworami prezentującymi działaczy i funkcjonariuszy państwowych szczebla średniego. Jest to, mniemam, zastępstwo doraźne. Niemniej jednak uświadamia jedną prawdę: dziś o temacie politycznym w literaturze decyduje w większym stopniu odbiór dzieła, a nie — jak kiedyś — okoliczności jego powstania.

V

Co jest pracy abecadłem? (Cyprian Kamil Norwid)

Kazimierz Wyka napisał kiedyś, że nie trzeba wcale wspinać się aż na kopiec Kościuszki, by przyjrzeć się Polsce i jej literaturze. Wystarczy spojrzeć ze zwykłej, codziennej perspektywy, aby zauważyć, że w tym „kraju pełnym tematów" sprawy pracy, czy jak wcześniej powiadano produkcyjne, odgrywać powinny rolę szczególną.

Wynika to z dwóch co najmniej przyczyn. Po pierwsze: „ideologia pracy" ma w naszej literaturze stuletnią z okładem tradycję. Po drugie: literatura współczesna rezygnując z wyłączności socrealistycznej metody twórczej nie odżegnała się wcale od obowiązku pokazywania tego, co i jak tworzy — jak to określono — „nasza planowa świadoma praca".

Praca ludzka to taki krąg tematyczny, na który w naszych warunkach istnieje wyraźne i nie kwestionowane zapotrzebowanie społeczne i instytucjonalne. Różniąc się w niektórych sprawach drugorzędnych uczestnicy życia literackiego orzekli wreszcie, że praca w literaturze nie powinna nigdy być celem samym w sobie, nie może stać się ona fetyszem, jak w niesławnej pamięci produkcyjniakach. Jest przecież środkiem prowadzącym do różnych celów, jest podstawowym środkiem utrzymania jednostki i społeczeństwa. Stąd też o ile trudno było stworzyć interesującą powieść o produkcji, o tyle ambitna powieść o człowieku pracy jest obecnie traktowana jako normalny fakt literacki.

Wśród powieści o pracy na specjalną uwagę zasługują utwory ukazujące działalność wielkich przedsiębiorstw, mówiące o codziennym wysiłku robotników. Właśnie zakład pracy okazuje się najlepszym miejscem, w którym człowiek, zwłaszcza młody, przekonać się może dowolnie, „kim jest naprawdę, na kogo go wychowano i wyuczono" — jak napisał w jednej z pierwszych powieści Jerzy Wawrzak. Nie bez powodu akcentując ten motyw, powieści o pracy spełniać bowiem mogą niebagatelne funkcje wychowawcze,, pokazując między innymi przemianę outsidera w zdyscyplinowanego i ofiarnego członka społeczeństwa.

Ulubionym chwytem powieści, o której mowa, stała się od dość dawna sytuacja konfliktowa (np. kłopoty z kooperantami, załamanie planu czy wypadek przy pracy), w której to sytuacji ujawniają się prawdziwe postawy ludzkie, sprawdzają charaktery. Wspomniana sytuacja okazuje się przełomowym momentem w życiu niejednego bohatera literackiego, decyduje w konsekwencji o lepszej jego przydatności dla macierzystej instytucji.

Coraz częściej też pojawiają się utwory, w których rola pracy w życiu jednostki i społeczeństwa ukazana zostaje nie tyle poprzez codzienną robotniczą praktykę, co przez rozmaite perypetie „menażerskie": organizowanie i unowocześnianie produkcji, różnorodne zabiegi technokratyczne, przezwyciężenie trudności adaptacyjnych w nowym środowisku: wyprowadzenie „kulejącego" dotąd zakładu na czołowe miejsce w systemie współzawodnictwa.

Utwory te nazywa się niekiedy „neoprodukcyjniakami", dając w ten sposób do zrozumienia, iż nawiązują one w pewien sposób do doktryny obowiązującej u nas na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Jeśli tak jest istotnie — to bez wątpienia w określeniu socrealizm akcentuje się wyraźnie ten drugi człon.

W literaturze polskiej istnieje grupa autorów wiernych i konsekwentnych w wyborze tematyki produkcyjnej, np. Albin Siekierski, Jan Pierzchała, Leon Wantuła, Jerzy Jesionowski, Jerzy Mańkowski. W środowisku łódzkim wspomnianą problematykę podejmuje najczęściej Jerzy Wawrzak. Postaci jego cyklu powieściowego, od „Okolicy moich przyjaciół" po „Wejście przez sekretariat", stanowią odmiany współczesnego bohatera pozytywnego. W ich charakterystyce ważną rolę odgrywa robotnicze pochodzenie, z dumą manifestowane przy różnych okazjach. Bohater Wawrzaka wykazuje się znakomitymi cechami — jest świadom społecznego znaczenia swych poczynań, jest rzutki, konsekwentny w działaniu, uczciwy i honorowy. Posiada organizatorskie predyspozycje, cechuje go skuteczność działania. Tę ostatnią cechę pisarz podkreśla najmocniej. Bohaterowie „Rekomendacji" czy „Wejścia przez sekretariat" obejmują nie najlepiej funkcjonujące zakłady i po niedługim, acz wypełnionym intensywnym wysiłkiem i nie pozbawionym różnorodnych napięć okresie, wyprowadzają swe zakłady na czołowe miejsca w zjednoczeniu. Osiągają sukces, bo są nie tylko technokratami, ale zwracają baczną uwagę na wzajemne kontakty między ludźmi. W procesie pracy posiadają one przecież znaczenie nie mniejsze niż na przykład stała modernizacja urządzeń technicznych. Po prostu liczy się postawa całej załogi. Właśnie społeczna edukacja poprzez pracę to podstawowa teza tych powieści.

Proza produkcyjna to najbardziej wyrazista, wyspecjalizowana niejako, forma realizacji tematu pracy. W praktyce zaś problematyka pracy obecna jest w większości utworów większości prozaików. Chodzi tylko o sposób ujęcia. W publicystyce literackiej (i nie tylko literackiej) wypisano w tej kwestii morze atramentu, trudno więc nie popadać w sterectypy, gdy się mówi o sprawach pracy. Skorzystam i ja z tego bogatego arsenału i powiem, iż również w wielu powieściach twórców łódzkich dopatrzeć się można pochwały dobrej roboty. Co nie oznacza wcale, że została ona wyrażona wprost i w pierwszym planie artystycznym. Po prostu stanowi jeden z elementów dzieła. Czytelnicy „Głębokich źródeł" Wandy Karczewskiej, „Idę razem z wami" Władysława Orłowskiego, „Cichych jezior" Tadeusza Papiera, „Między brzegami" Wiesława Jażdżyńskiego, „Dzbanka życia" Tadeusza Chróścielewskiego, „Ich dnia powszedniego" Antoniego Kasprowicza, „Zielonych drzew" Jana Koprowskiego, „Daleko od szosy" Henryka Czarneckiego i innych utworów mieli okazje zetknąć się z ludźmi różnych zawodów, traktujących pracę rozmaicie — raz jako życiową konieczność, innym razem jako działalność twórczą i radosną. Stosunek do pracy, chętnie wykorzystywany na przykład przy charakteryzowaniu bohaterów, bywał tu niekiedy marginalnym wprawdzie lecz jakże wymownym fragmentem dziejów bohatera.

Jakie znaczenie dla naszego kraju posiada dobra, rzetelna robota wiemy wszyscy. Wiemy również, że społeczeństwo nasze musi się jej wciąż jeszcze uczyć i to nie tylko z informacji przekazywanych w „Wieczorze z dziennikiem". W tym zakresie ma do spełnienia ważką rolę również literatura — dostarczycielka wysublimowanych wzorców świadomych postaw obywatelskich, literatura krytykująca i nauczająca.

VI

Pora odpowiedzieć na postawione wcześniej pytanie o wolę porozumienia pisarza z czytelnikiem.

Wprawdzie przepowiednie końca galaktyki Gutenberga jak dotychczas nie sprawdziły się, ale przecież nie jest tajemnicą, że literatura utraciła „rząd dusz" (jeśli go rzeczywiście kiedykolwiek posiadała). W społeczeństwie naszym pozostała jednak wartością, do której tradycyjnie przywiązuje się duże znaczenie, choć nie należałoby zapewne przeceniać jej rzeczywistego wpływu. I to nie tylko w aspekcie nie najwyższych nakładów czy problemów związanych na przykład z ustaleniem listy tytułów do międzywydawniczej serii „Książka dla każdego".

Zarówno tradycja literacka, jak i potrzeby dnia dzisiejszego, nie pozwalają pisarzom oderwać się od szeroko rozumianej społecznej służby. Tyle tylko, że zmieniły się jej kryteria, ostre niegdyś granice uległy zatarciu. Nie zmieniło się jedno — poczucie narodowej wspólnoty.

W literaturze przejawia się ono dzisiaj potrzebą ustalania tożsamości współczesnego Polaka, zarówno w poczuciu wartości kulturalnych, jak i w poczuciu konieczności uzyskania takich wskaźników produkcji, by zrównać Polskę z krajami wysoko uprzemysłowionymi. Narodowej genealogii cierpienia i dziwności przeciwstawiona zostaje trzeźwa lista propozycji (nie tylko „produkcyjnych", rzecz prosta), które trzeba zrealizować, by nie przegrać w powszechnym wyścigu narodów. Literaturze lat siedemdziesiątych chodzi więc nie tyle o Polaka, jakim jest, co o Polaka, jakim być powinien. Nawet jeśli pokazuje go w kategorii „przeciętności", a nie wyraźnego wzorca do naśladowania. **Wola porozumienia** między pisarzem a czytelnikiem polega w tym przypadku na **wzajemnej akceptacji edukacyjnej funkcji literatury**, na przywoływaniu społecznego punktu odniesienia, na przechodzeniu od prawdy indywidualnej do prawdy społecznej.

Referat wygłoszony podczas sesji literackiej „Obraz Polski lat siedemdziesiątych w prozie", która odbyła się 17 maja br. w ramach Dni Literatury w Łodzi.

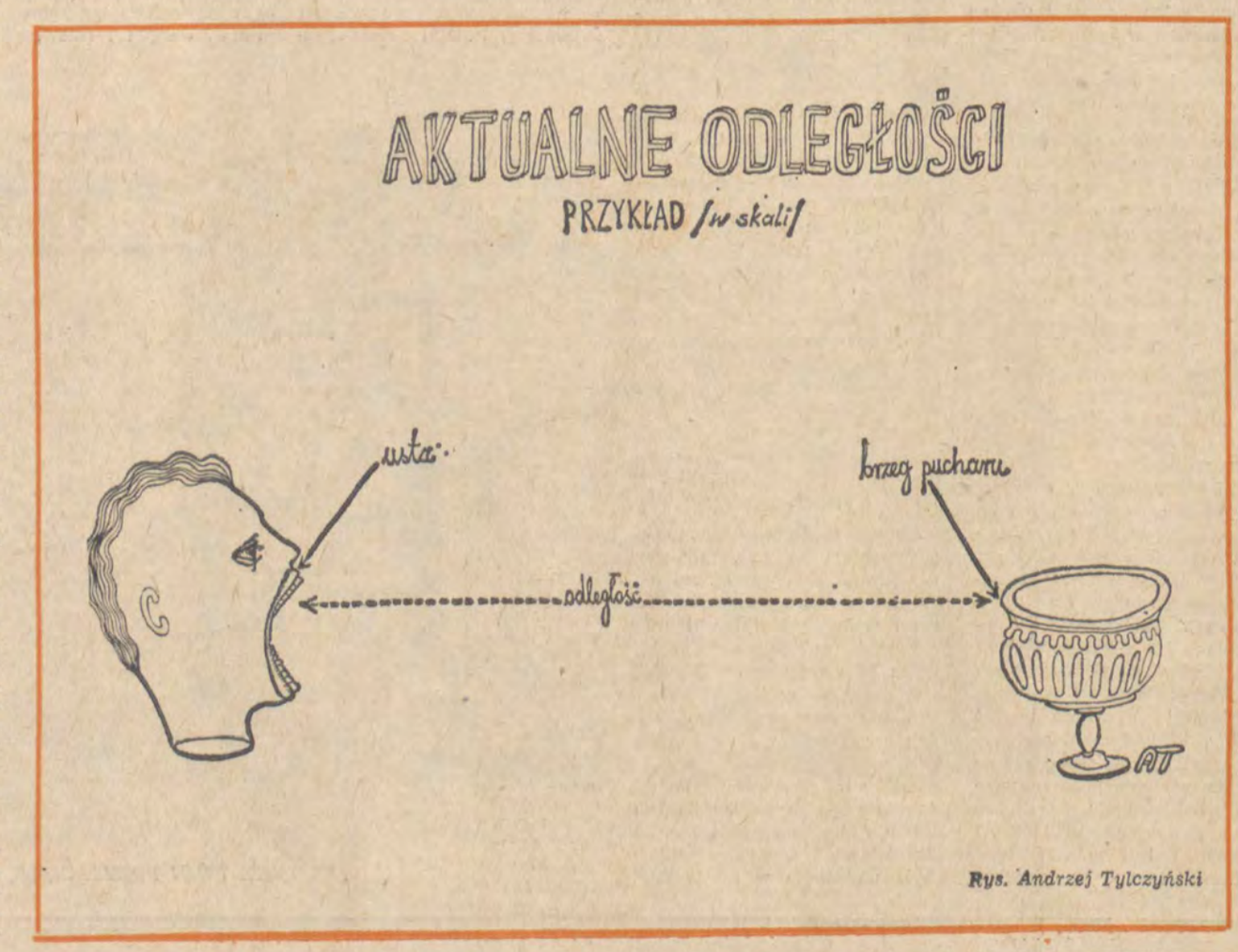

Rys. Andrzej Tylczyński

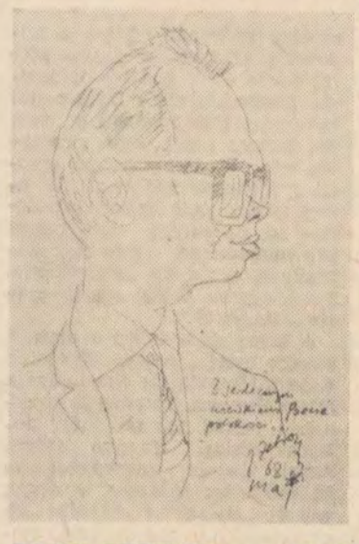

WASYL KOCZNOW

WIERSZE

PRZED OBRAZEM ŁÓDZKIM

Już nie osiągniesz dni
przesiąkniętych
jak bandaż
wylewem syren alarmowych
To są tylko pasje barw
przerażenie pędzla
który ujrzał ulicę
ziejącą bólem
gdy obcy czołg prasował plac
jak całun
Dzisiaj miasto podaje mi dłoń
z wyraźną linią
dojrzałej przyszłości
prowadzi mnie w ujście ulic jak w sny
wtedy czasy kolczaste
odsuwają się tak daleko
tak daleko
jak dni Babilonu

Młode prządki jak Parki
snują nieskończoną nić istnienia

TRANSLACJA

To jest jak wyzwolenie myśli
ogłuszające pierwsze wino
usłyszeć w innej mowie światło
zaistnieć
w innym nieprzeczuwanym czasie
gdzie słońce nie ma jeszcze imienia słońca
niebo i ziemia dopiero
tworzą się
by tchnąć we mnie
zanim usłyszę w słowie
jak w starym dzwonie na wieży cerkiewnej
wszystkie głosy
od młota na kowadle do fali na piasku
od słonecznej nuty żurawi
do ciemnego milczenia pode mną
tej ziemi
rozstajnej

☆ ★ ☆

Żołnierze idą w nieskończoność
i nie wracają —
kładą pod głowę nagie wzgórza
porastają trawą
zamieniają się w ciszę
Teraz słucham ziemi
mój smutek ma kolor zmierzchów
poległych

POWIEŚĆ O „ROBINSONIE MŚCICIELU"

Nader istotnym wyróżnikiem obecnego nurtu prozy o wsi jest całkowite niemal poniechanie mimetycznego ukazywania życia w myśl reguł tradycyjnego realizmu — na rzecz pisarstwa kreacyjnego. Nadal jest to proza jak najbardziej społeczna, gdyż cel, jaki przyświeca pisarzom, to nie eksperyment sam dla siebie, ale możliwie ostre wyjaskrawienie zjawisk rzeczywiście, ich zdaniem, występujących na wsi i zasługujących na baczną uwagę. I tak **Tadeusz Nowak** w pełnych uroku fantasmagorycznych — nie tyle nawet powieściach co poematach prozą — pragnie poprzez monolog wewnętrzny bohaterów, ich dziwne zachowanie, pejzaż niby z malowanek na szkle, wskazać na piękno archetypicznej wyobraźni ludowej, niszczonej dziś skutecznie przez inwazję miejskiej standardowej cywilizacji. **Redliński** w swych groteskach, ocierających się o kopce graniczne nadrealizmu, „przyprawia gębę" uroczyście celebrowanym schematom o starym i nowym na wsi i upatrywaniu sensu jej życia już to w wydajności z hektara, już to w rewolucji seksualnej. **Myśliwski w „Pałacu"**, mistrzowsko budując sytuację nierzeczywistą, nie bywałą nawet w kręgu zjawisk psychopatologicznych (rodzaj rozdwojenia jaźni) — wskazuje w sposób przewrotnie dowcipny, że o antypodach chłopskości i pańskości decyduje — czy raczej decydowała — nie kwestia wychowania, ciążenia tradycji, środowiskowej kultury, dziedziczonych nawyków, lecz zwyczajnie — stan posiadania i, jeśli los tak zrządza, obie te jakości mogą śmiało występować w życiu zamiennie. **Binkowski w „Sypała brzezina złotem, czerwienią"** celowo wyolbrzymia zamiłowania kolektywów parobczańskich sąsiadujących wsi do bójek między sobą, zdając się widzieć w tym relikt formacji psychicznej wojownika-myśliwego, ukształtowanej w czasach archaicznych.

Przyjrzyjmy się pod tym kątem dwóm ostatnio wydanym powieściom **Zygmunta Wójcika. W „Pojedynu"** autor podejmuje aktualny dziś temat ucieczki inteligencji wiejskiej do miast. Bardzo istotną rolę wyrazicielki poglądów autora i wysokich racji społecznych pełni w niej postać wiejskiej matki bohatera powieści. Wójcik, tworząc ją, odrzuca jakiekolwiek względy na werystyczne prawdopodobieństwo. I tak odsuwa na bok, jako rzecz nie tylko zbyteczną, lecz szkodliwą dla koncepcji książki, niezaprzeczalny fakt, że autentyczna kobieta z dalekiej Wólki, gdyby wyruszyła po raz pierwszy z opłotka do dużego miasta i znalazła się w nowoczesnym mieszkaniu, musiałaby, bo nie ma cudów, przeżywać różnorakie stany wylęknienia, onieśmielenia, oszołomienia. Tymczasem ta zarysowana niezmiernie wyraziście mohikanka dawnej — chyba już dziś wymarłej — profesji wiejskich mędrczyń-doradczyń, dysputując z synem i sypiąc nieprzerwanie archaicznymi aforyzmami i przysłowiami, w niczym nie przypomina kobiet wiejskich, jakie rejestruje nasze doświadczenie. Przed oczyma wyobraźni czytelnika jawi się, wywołana przez autora z niebytu, coś jakby Zaratustra z apokryfu Nietzschego, tyle, że w spódnicy, jakby Sybilla. Bliższa jest ta postać Rozie Wenedzie, niż np. tytułowej bohaterce znanej powieści Sewera „Matka".

Bohater **„Złej miłości"** po zabiciu kogoś za rzeczywiste, czy tylko manifestacyjno-symboliczne pogwałcenie granic ziemi, która jest jego, bohatera, własnością, a więc terytorium suwerennym, ucieka przed odpowiedzialnością karną do lasu. Tu wiedzie, o kilka zaledwie kilometrów od swej chałupy, przez kilkanaście lat żywot Robinsona Crusoe.

Robinsona szczególnego — uciekinier bowiem cały czas ma na oku swe obejście i gospodarkę i nieprzerwanie obserwuje własną rodzinę, jak to się szarogęsi na jego posiadłości. Nie tylko obserwuje, lecz podczas udanych rajdów na obszar prowadzonego teraz przez córkę i zięcia jego gospodarstwa, raz po raz dokonuje aktów sabotażu: kaleczenia zwierząt gospodarskich, niszczenia sprzętu mechanicznego, przemyślnego doprowadzania córki do poronień. Z czasem osobliwy Robinson rezygnuje z robinsonady i najmuje się za parobka u swego dawnego sąsiada, aby być bliżej swojej ziemi, co ułatwia inwigilację i dalsze akty zniszczenia. Od pierwszego rozdziału wiemy, że sprawa zabójstwa tamtego kogoś w ogóle dla zabójcy nie istnieje — ani jako powód do obaw o własną skórę, ani jako problem sumienia. Opętany jest bez reszty wolą zemsty na rodzinie i niszczeniu, jak to się dawniej mówiło, własnej „krwawicy".

Przyczyna tej nienawiści i opętania ziemią po pewnym czasie staje się jasna. Najbliżsi popełnili przed ucieczką gospodarza, a teraz popełniają pozornie lege artis przestępstwo najcięższe i najwszeteczniejsze, jakie można popełnić. Kiedy jeszcze on, posiadacz, gospodarzył, usiłowali z nim... współgospodarzyć i do tego jeszcze mieć inne niż on, posiadacz, koncepcje gospodarowania — zgodne z nowoczesną wiedzą agrotechniczną i oparte na mechanizacji. Teraz z kolei, kiedy on zmuszony jest do ukrywania się, śmią na jego ziemi gospodarzyć i te koncepcje pomyślnie wcielać w życie. Po okaleczeniu zwierząt, zniszczeniu kombajnu, niedopuszczeniu do urodzin własnych wnucząt, ukrywający się posiadacz dopełnia ostatniego ataku zemsty: podpala budynki gospodarskie wraz z całym dobytkiem, zbiorami i inwentarzem, po czym w szalejącym ogniu sam na sobie dokonuje auto-da-fe.

A więc, co było motorem działania bohatera „Złej miłości"? Jasne, że nie miłość do ziemi. Motorem działania było poczucie prawa własności, przekraczające wszelkie granice zdrowego rozsądku, wszelkie normy prawne i etyczne, jakie zna prawo naturalne, państwowe, objawione. Dzianie się Woli właściciela w sprawach tyczących jego własności jest, według przekonania bohatera powieści, wartością najwyższą i prawem niejako transcendentnym, górującym najoczywiściej nad dekalogi, tablice praw, związki uczuciowe, obowiązki wobec rodziny, gatunku i wszelkich, jakie tylko istnieją, ideałów. Posiadanie nie jest posiadacza przywilejem, jest ciężkim, można powiedzieć, heroicznym obowiązkiem, bo jest czymś w rodzaju kapłaństwa, uświęconym charyzmatem, obowiązkiem służebnym wobec tej Wartości Najwyższej, jaką jest święta Własność. Jest kapłaństwem, a zarazem trybunałem z mocą i obowiązkiem karania śmiercią za wykroczenie wobec Niej.

Konstrukcja psychiczna bohatera, podobnie jak sytuacja, w której każe mu Wójcik istnieć i działać, jest wymyślona, umowna, sztuczna. Autor, budując postać, niejako zapomniał o złożoności i niekonsekwencjach natury ludzkiej. Poza nienawiścią, wiarą w dogmatyczną nieomylność swych sądów i niezwykłym uporem, nie wyposażył jej w żadne inne cechy charakteru, odruchy czy choćby okruchy innych zainteresowań i przywiązań. Gospodarz-uciekinier pozostaje całkowicie, bez reszty i bez żadnych zgrzytów w maszynerii psychicznej pod wszechwładzą swej makabrycznej monomanii.

A sytuacje? Czyż jest w Polsce możliwe zaszycie się w tak nieprzebytych puszczańskich ostępach, w dodatku o krok od domu, i kilkunastoletnia tamże robinsonada w kraju o określonym klimacie i cierpiącym na nieustanne klęski klimatyczne? Czy jest możliwa aż taka bezradność aparatu porządku publicznego, a ofiar wciąż powtarzających się aktów samosądu człowieka z lasu? A zatem fantazja Wójcikowi jednak chodzi nie o eksperyment sam dla siebie, lecz o wyjaskrawienie zjawiska występującego rzeczywiście i zasługującego na naszą baczną uwagę. Postać „mściwego Robinsona" jest umowna, ale cechy charakteru i mentalności, które sprzęgły się w nim w tak wielkim stężeniu — skrajny egotyzm, aspołeczność, brutalność, apodyktyczność — spotykamy dokoła siebie często... zdecydowanie za często. W „Złej miłości" Wójcik wzniósł się wysoko ponad ambicje powieści interwencyjnej, reagującej na bolączkę społeczną, na którą właśnie była łaskawa zwrócić uwagę w danym momencie publicystyka społeczna i działacze zapalili do walki z nią zieloną latarnię. Dał książkę o aktualności trwałej, a jakże socjalistycznej!

Jest to bezsprzecznie najlepsza powieść w dotychczasowym dorobku ambitnego i pracującego mocno nad sobą autora. Postać głównego bohatera nie tylko, że zarysowana została wyraziście, ale i cały czas prowadzona jest tak konsekwentnie, że mimo oczywistego nieprawdopodobieństwa istnienia aż takich struktur psychicznych, sprawia wrażenie postaci pełnowymiarowej i jest przekonywająca. Nasuwa się porównanie z anglosaską powieścią fantastyczną, w której po przekroczeniu w określonym miejscu progu niemożliwości dalej już dzieje się wszystko jak w dobrze zbudowanych powieściach realistycznych. Zwłaszcza, że Wójcik zachował piekielną konsekwencję w niewychodzeniu nigdzie w toku akcji poza punkt widzenia bohatera i pozornym solidaryzowaniu się z jego poglądem. Pochwalić trzeba dramaturgię utworu, stopniowanie napięcia, klarowność kompozycji, barwność języka, typową zresztą dla autora „Zabijania koni" skłonność do niebanalnej aforystyki.

Niemniej jak w przysłowiowej plosence o bacy, co „jesce by lepsych kłopców miał", gdyby..., powieść mogłaby być lepsza, gdyby autor nie trzymał się z taką zajadliwą konsekwencją prowadzenia monologu wewnętrznego bohatera w drugiej osobie (notabene zabiegu nie tak znów bardzo nowatorskiego, skoro stosował go z pełnym powodzeniem artystycznym w „Pamiące Janowi Babtyście hrabi na Tęczynie" Jan Kochanowski) Nieodchodzenie ani na chwilę od monologu w tak niewygodnej osobie uniemożliwiło Wójcikowi m. in. bliższe zapoznanie czytelnika z ofiarami mściciela znieważonej Własności, pokazanie ich nieszczęsnego dnia jak co dzień, ustawicznego lęku, przyjmowania kolejnych ciosów. Bez tego są to postacie dwuwymiarowe, co znacznie osłabia należne im współczucie, a zarazem siłę oskarżycielską powieści. Zięć i córka, pokazywani tylko z daleka, zbyt przypominają mniej zwinnych kowbojów z filmów o Dzikim Zachodzie przewracających się po strzałach znakomitego rewolwerowca.

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

Zygmunt Wójcik — „Pojedynek", Czytelnik, W-wa 1977, cena zł 19,—

Zygmunt Wójcik — „Zła miłość", LSW, W-wa 1978, cena zł 22,—

RECENZJE

NIEWIELE, A SZKODA

Nie pierwszy raz, i chyba nie jako jedyny, zwracam uwagę na fakt, iż spośród łódzkich aktorów bardzo niewielu uprawia swą sztukę wykraczając poza wymagania twórcze, jakie stawiają wobec nich macierzyste sceny. Niesłychanie rzadko spotyka się ich na przeglądach małych form teatralnych, teatrów jednego aktora itp., a już o ogólnopolskich sukcesach, jakie by ktoś z nich odniósł w tej dziedzinie, uprawianej bardziej con amore niż z chęci zysku — nie słychać w ogóle. Zwykło się to łączyć z dość wyjątkową sytuacją w jakiej znajduje się łódzkie środowisko aktorskie. Chodzi mianowicie o istnienie sporych, jak na skalę środowiska, możliwości podjęcia dodatkowej pracy w instytucjach pozateatralnych: poza radiem i telewizją także w filmie, dubbingu itd., itp. Istnieje w Łodzi chłonny rynek pracy extra, rzadko wymagający od zleceniobiorców szczególnego wysiłku artystycznego. Sytuacja to korzystna, jeśli chodzi o zaspokajanie potrzeb materialnych, ma też swoje skutki niekorzystne. Jednym z nich jest twórcze rozleniwienie środowiska, wyrażające się m.in. właśnie rzadkością podejmowania przez aktorów form pracy wzbogacających ich warsztat, podkreślających samodzielność twórczą, zmuszających do wszechstronnego wysiłku intelektualnego i artystycznego. Perspektywiczne myślenie o zwiększaniu swoich szans zawodowych zabijane jest przez doraźny utylitaryzm.

Z tym większym więc szacunkiem trzeba przyjąć ujawniające się od czasu do czasu wyjątki. Spotkaliśmy się z nimi ostatnio podczas I Konkursowego Przeglądu Indywidualnej Twórczości Aktorskiej, jaki zorganizowany został w połowie czerwca przez Dom Środowisk Twórczych w Łodzi. (Inna sprawa, że jak dotychczas brakowało w Łodzi instytucji, która by otoczyła opieką tych aktorów, którzy bardziej sobie cenią ambicje twórcze, niż doraźny zysk). Zgłosiło się do tego przeglądu raptem siedem osób. Maria Białobrzeska z programem poetyckim „Miasto—Ojczyzna", Ewa Frąckiewicz mówiąca tekst własny pisany w gwarze góralskiej „Ej zicie, zicie", Andrzej Jędrzejewski z recitalem według tekstów własnych „Show sobie raz", Alina Kulikówna z „Balladą o miłości" wg „Ondyny" J. Giraudoux, Mirosława Marcheluk prezentująca „Diariusz Cornelli van der Floris z listami Hieronima Gratusa Moskorzowskiego znaleziony", Magdalena Nowakowska-Sieroszewska z montażem poezji Gałczyńskiego „Które Chopin pozbierał i przemienił w słońce" oraz Jadwiga Siennicka z monodramem „Wakacje nad Adriatykiem" według Zofii Posmysz.

Przegląd był więc skromny, bo skromny, ale warto było go organizować choćby po to, aby odkryć monodram Siennickiej. Jest to swego rodzaju majstersztyk aktorski: tekst głęboko przeżyty (a przedtem świetnie przeanalizowany), przedstawiony z napięciem, które udziela się widowni. Użyła tu aktorka środków wyrazu najprostszych, a przez to i najbardziej przekonywających, stworzyła postać pełną, bardzo skomplikowaną psychologicznie, a jednocześnie zrozumiałą w każdym z działań. Pozwoliła nam Jadwiga Siennicka odkrywać motywy postępowania swej bohaterki, wręcz utożsamiać się z nią w trudnych sytuacjach wyboru (I nagroda Przeglądu oraz nagroda specjalna Łódzkiej Rady Zw. Zawodowych za szczególne walory humanistyczne tej propozycji).

Odmienny zgoła i poprzez temat i poprzez wynikające z niego środki wyrazu, był wyróżniony II nagrodą program Mirosławy Marcheluk. Propozycja aktorska jakby ascetyczna — pani Mirosława nie mówi, ale wręcz czyta tekst. Coś jednak sprawia, chyba uśmiechnięte skupienie, chyba głęboko wibrujący głos, unoszący nas gdzieś w przeszłość, że powoli dajemy się wciągnąć w tę historię, nie dopowiedzianą do końca, siedemnastowiecznej miłości Holenderki i Polaka. Istotnym uzupełnieniem była tu ilustracja muzyczna Krzysztofa Galanta, oparta o utwory muzyki dawnej (wyróżnienie specjalne za ilustrację muzyczną).

Nagrodę III zdobyła Alina Kulikówna. Jeszcze raz pozwoliła się nam zauroczyć opowieścią o Ondynie, bogince wodnej. Umiała stworzyć sugestywny klimat tej opowieści, choć... No, właśnie. Dało się tu też zauważyć pewne błędy interpretacyjne (drobne, bo drobne, ale zawsze), powstałe chyba na skutek tego, że zabrakło jakby spojrzenia z zewnątrz, drobnych korekt, które by usprawniły analizę tekstu, zwłaszcza w miejscach zmiany przedmiotu opowieści.

Nagrody nagrodami, ale warto by jeszcze choćby wspomnieć o show Jędrzejewskiego, jedynej propozycji, która miała charakter satyryczny, lekki, tym zresztą cenniejszej, że opartej o własne teksty aktora. Nie, zachwycać się nie będę, bo równie wiele w tym programie tekstów naprawdę świetnych, wypracowanych, co i puszczonych przez miłość własną — przegadanych, nużących. O tych drugich rychło zapomnimy, niektóre z tych pierwszych zamierzamy opublikować w kolejnych „Załącznikach" — w każdym razie zaprosiliśmy autora na łamy. Wtedy się przekonamy, już z Czytelnikami, że było w tym programie wiele rzeczy godnych zapamiętania.

DŚT zamierza w przyszłym roku zorganizować przegląd z numerkiem „2". Zapowiadamy to już teraz, aby zachęcić wszystkich aktorów, a zwłaszcza młodzież aktorską. Bo poza paniami, młodzi w tym przeglądzie nie uczestniczyli w ogóle. Tak jakby zaraz po szkole stracili wszystkie naraz ambicje, chęć pokazania się, cały animusz. I tylko szepcą po plotkarniach, że są niedoceniani i mają trudności startu.

JERZY KATARASIŃSKI

SOLDY

Nikt, pomijając pustynie, nie rozczula się nad drzewem, tylko dlatego, że wypuszcza liście. Ani nikt nie wybiega na balkon, aby obwieścić, iż kupiona właśnie gazeta zawiera aktualne wiadomości. Nie będę więc z entuzjazmem wydziwiał, jak to telewizja ostatnio towarzyszyła codziennym wydarzeniom prezentując bogaty serwis informacyjny. Są to obowiązki tak oczywiste, jak obroty Ziemi. I trzeba by jakiegoś Hoimara von Ditfurtha, aby z tych oczywistości zrobić sensację dnia. Nie mam takich ambicji, nie mówiąc już o innych niedostatkach. A i telewizja, choć staje się już po trosze wszystkim, nie daje się porównać do pełnego ładu i harmonii wszechświata. Raczej do ogromnego domu towarowego, który zarabia dzięki ogromnej masie kupujących, a w którym olbrzymi popyt wpływa demoralizująco na jakość handlowej usługi. To porównanie można byłoby rozwijać bez końca. Poprzestańmy na tytułowych soldach. Nasi turyści wiedzą, że jest to forma sezonowych wyprzedaży z których słynie rynek francuski. Handlowcy sięgają do magazynów, obniżają ceny, uatrakcyjniają sposób sprzedaży, dodają nowe opakowania. Ale towar zostaje ten sam, trochę zleżały, już niemodny, o obniżonej wartości. Wystarczy tego opisu. Wiadomo o co chodzi.

Od dłuższego już czasu program telewizyjny, zwłaszcza ten emitowany w dwójce jest permanentnym powtórzeniem, a i ten w jedynce nierzadko odwołuje się do przeszłości. Nie jestem w stanie bawić się w statystyki, zatem nie podam cyfr i procentów, które wskazywałyby na stosunek programów premierowych do powtórzeń. Wystarczy przejrzeć program za ostatnie dziesięć dni od 9 do 19 czerwca, aby nie poszukiwać już innych argumentów: dwukrotnie „Studio Bis", „Spotkajmy się jeszcze raz", „W starym kinie", „Filmy Latarni Czarnoksięskiej" oto formuły — kamuflaże, aby jeszcze raz bez żenady prezentować „Jadzię", recital Aliny Wyrodek, „Motodramę" i inne tym podobne atrakcje. Nie wspominam już tu o Janosikach i Panach Michałach, aby nie irytować siebie i czytelników. Dzieci teraz nie tylko nie będą chciały spać (bo „Przygody Pana Michała"), ale i wakacje spędzają w czterech ścianach (bo „Czterej pancerni i pies" — też po dwa odcinki!).

Rozumiem, że zmienia się widownia, że należy powtórzyć jakiś atrakcyjny program, że trzeba przypomnieć coś, co ma określoną i aktualną jakość, powrócić do wartej tego problematyki. Dlatego nie protestowałbym na przykład, gdyby tv zaprezentowała, któregoś popołudnia nagrody festiwalu olsztyńskiego, wznowiła formułę „Dnia autorskiego", tak jak nie protestuję oglądając „Teatr wspomnień". W swoim ponad dwudziestoletnim dorobku ma telewizja sukcesy bezsprzeczne i warte ponownej emisji. Nie wszyscy o nich pamiętają, o wielu zdążyliśmy już zapomnieć. Ale kto chce jeszcze oglądać „Jadzię" eksploatowaną w tv bez końca nie tylko w całości ale i we fragmentach? Albo „Motodramę"? Albo kolejną opowieść o rajdzie Safari? Albo kolejną piosenkę na życzenie. A swoją drogą ciekawe jak to jest z tym „na życzenie"? Czy czasem nie tak jak to obśmiał w którymś ze swoich programów Zenon Laskowik...

O czym więc pisać, co pochwalić, nad czym się felietonowo zadumać? „Doktor Murek" jeszcze się nie skończył, tymczasem oglądajmy go uważnie, bo zasługuje na to. W „Banaczku" najlepsze są „polskie przysłowia". Program „Na estradach świata" prezentuje rzeczywiście to, co na tych estradach jest niezłe. Tylko po co przed tym programem rozmawiają Barbara Pietkiewicz i Jerzy Gruza, tego nie wiem. Ostatnio śpiewał w Olimpii Demis Roussos, natomiast redaktorzy mówili o strojach Maryli Rodowicz i Czesława Niemena. Tu muszę się zwierzyć z narzucającej się podczas oglądania tv obserwacji: jakże często się zdarza, iż prowadzący program redaktor zamula sens tego co za chwilę możemy obejrzeć, jak często jego „syntetyczne" wprowadzenie rozmija się z treścią zapowiadanego filmu, reportażu czy dokumentu. Tylko jeden przykład. We wtorkowym (12 czerwca) „wieczorze filmowym" Jerzy Peltz, anonsując film animowany Krzysztofa Reynocha „Dziecko", streścił go przysłowiem „niedaleko pada jabłko od jabłoni". Do dziś zastanawiam się nad tym filmem i nad tym streszczeniem. K. Reynoch w zmetaforyzowanej formie opowiada o tym jak orzeł wyśledział kurę i jakie tego były konsekwencje. Idea poetycka filmu jest na tyle czytelna i na tyle nośna, że streszczenie redaktora odebraliśmy jako kulę w płot (też przysłowie).

Jednym słowem soldy. A że od czasu do czasu obejrzymy coś interesującego, wcale z tym uogólnieniem się nie kłóci. I na soldach można kupić rzecz, która nas usatysfakcjonuje. Soldy mają charakter sezonowy. Liczmy więc na to włączając telewizyjne odbiorniki.

GRZEGORZ GAZDA

ŻART NORWIDOWSKI

Norwid gościł już parokrotnie na antenie telewizyjnej. O ile pamiętam, nadawane były w ramach teatru TV „Aktor", „Pierścień Wielkiej Damy" i chyba „Kleopatra i Cezar". Po raz pierwszy jednak teraz, w przypadku „Miłości — czystej u kąpieli morskich" reżyser Kazimierz Braun odstąpił od konwencji teatralnej, to jest wywodzącej się ze sceny pudełkowej, i wyszedł ze spektaklem w plener.

Przyznaję się, że nuży mnie już trochę w telewizji prezentowanie klasyki teatralnej ze studia, na tle malowanego krajobrazu i sztucznych drzewek z butaforni. Nieautentyczność, mieszcząca się świetnie w umowności teatrtu scenicznego, w telewizji przy stosowaniu zbliżeń i najazdów kamer odsłania nieprawdziwość, a często tandetność dekoracji. Nie pomaga nawet zainstalowanie w atelier fontanny, czy wprowadzenie doń żywego konia.

Oczywiście, uwagi moje dotyczą sztuk rozgrywających się w markowanym plenerze. Mniej do zarzucenia mam spektaklom, których akcja toczy się wyłącznie we wnętrzach. Choć i w tym przypadku dekoracja ustępuje prawdziwym wnętrzom starych pałaców, zamków, czy klasztorów.

Kazimierz Braun, jak powiedziałem, całe widowisko usytuował w plenerze. Drzewo to u niego drzewo, skała to skała, piasek to piasek. Ma to swoje konsekwencje dalej idące niżby to się pozornie zdawało. Fotografowanie natury nawet kamerami telewizyjnymi upodabnia obraz widowiska do filmu, jednocześnie zaś zachowana zostaje konwencja teatralna w grze aktorów, do czego skłania już sam tekst Norwida, pisany białym wierszem, a miejscami — jak w monologu Feliksa w scenie drugiej — nawet wierszem rymowanym.

To skrzyżowanie filmu z teatrem daje w sumie pewną trzecią wartość, której na imię t e l e w i z j a. I jeżeli ze spektaklem Brauna nie we wszystkich elementach mogę się zgodzić, to jedno muszę na wstępie stwierdzić: widowisko to ma w strukturę swoją wpisaną telewizyjność. W takiej formie nie mogłoby pojawić się ani w teatrze, ani na ekranie kinowym. Jeżeli ktoś ma wątpliwości, czy istnieje specyfika telewizyjna, to Braun dostarcza niewątpliwie argumentu na „tak".

„Miłość — czystą u kąpieli morskich" napisał Norwid mniej więcej na trzy lata przed śmiercią, kiedy to przedwcześnie postarzały i schorowany dożywał swoich dni w Domu Św. Kazimierza — paryskim przytułku dla weteranów polskich. Za sobą miał więc już wzruszenia miłosne i nie zaspokojoną namiętność do Marii Kalergis, której osobowości doszukują się znawcy zagadnienia u większości bohaterek dramatów Norwida, takich jak Dama w „Nocy tysiącznej drugiej", Lia w „Za kulisami", Kleopatra, Hrabina Harrys w „Pierścieniu Wielkiej Damy" (aluzją do tej postaci jest nazwa „Willa Harrys" w spektaklu Brauna) i wreszcie Julia w „Miłości — czystej".

Rozmiary tej późnej miniatury dramatycznej poety, jak i pewna błahość fabuły wskazują, że nie chodzi tu o utwór dużego kalibru. Sam autor nie przykładał doń zapewne tej miary co do innych swoich utworów scenicznych. Określa się „Miłość — czystą" jako żart liryczny. Z pewnością wiele w niej dyskretnego humoru. Tak, ale z akcentem na określeniu „dyskretny".

Mam wrażenie, że Braun położył akcent raczej na słowie „humor" i to zaciążyło na interpretacji tekstu norwidowskiego. Zapewne, śmieszne kostiumy kąpielowe, jakie w tych czasach noszono, zachęcają do pójścia w kierunku groteski, którą tak świetnie operuje się w niektórych filmach czeskich. Również tyrady bohaterów „Miłości — czystej" skłaniają do potraktowania ich z pewną ironią, podobnie jak to czynimy w stosunku do mickiewiczowskiej Telimeny, czy Hrabiny Idalii z „Fantazego".

Na to wszystko zgoda! Nie wierzymy ani w rozczarowanie miłosne Feliksa, ani w zamiary samobójcze tegoż Feliksa, Marty, czy Julii. Julia pogodzi się łatwo z Erazmem, choć trudno rokować trwałość temu związkowi, Marta i Feliks pocieszą się sobą, słowem pełny happy-end. Czy happy-end? Norwid maluje wszystko kolorami zbyt pastelowymi, szuka rozwiązań fabularnych zbyt delikatnych, by można je uznać za jednoznaczne. „Każdy czytelnik — twierdzi Juliusz W. Gomulicki — subtelnych i piekielnie **cienkich** komedii Norwida powinien wziąć sobie za klucz do ich rozumienia tytuł słynnego w swoim czasie utworu dramatycznego Grabbego: **Żart, ironia, satyra oraz głębsze znaczenie"**.

W inscenizacji Brauna można znaleźć żart, ironię i satyrę, gorzej z „głębszym znaczeniem". Zgrabna pantomima, jaką reżyser poprzedza właściwą akcję, nadaje całości ton żartobliwy, ale powoduje jednocześnie spłycenie misternej miniatury Norwida. Widowisko mamy więc przednie, ale wywietrzał nam gdzieś duch wielkiego poety. Nie sądzę przy tym, by Braun, świetny inscenizator innych dramatów Norwida, nie wierzył w nośność jego tekstu.

I jeszcze jeden żal. Jeżeli już całość w plenerze, to dlaczego nie realizowana w Sopocie? Dlaczego jeziora kazało się grać rolę morza?

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

„SZCZĘKI 2"

Polską premierę filmu „Szczęki 2" znakomicie tym razem wpisano w dni, kiedy w kraju naszym padają rekordy temperatury, a upał raczej wygania z kina, niżeli doń zaprasza. Do kina, w takich okolicznościach, ściągają ludzi dziełka „lekkie, łatwe i przyjemne". Zasadzie tej nasz dystrybutor hołduje w czasie kanikuły aż nadto, gdyż doświadczenia z poprzednich lat, gdy lato nas nie rozpieszczało, wskazują, że siedzący w mieście ludzie chętnie oglądaliby repertuar o większych i różnorodnych ambicjach, niżeli ten, który sprowadza się do formułki wylansowanej ongiś przez niezawodnego Lucjana Kydryńskiego. Tym razem jednak się udało, bowiem plaże i wody Atlantyku sugestywnie z ekranu oddziałując, dają zmęczonym upalnym miastem ludziom chwilę oddechu, a porcja emocji i dreszczyków ponoć zawsze rozładowuje psychiczne zmęczenie.

Trudno mi jednakże stwierdzić, czy „Szczęki 2" nie rozczarowują tych, którzy w wyżej opisanych celach zjawiają się w kinie „Bałtyk", by poczuć dech Atlantyku. Wydaje się bowiem, że dla wszystkich tych, którzy „Szczęki 1" już widzieli, ich wariant nr 2 pozbawiony jest tego, co w każdym „suspensie" najważniejsze, to znaczy elementu niespodzianki. Producenci i reżyser dyskontują tu bowiem, co zresztą oczywiste, sukces pierwszego filmu. Czynią to jednak w sposób tak bezceremonialny, że budzi to zdziwienie. Gdy Steven Spielberg zrealizował swe „Szczęki", zaskoczył wyobraźnię milionów widzów na całym świecie, było to naprawdę „mocne uderzenie", cieszące wszystkich, także tych, dla których kino to nie tylko wspaniała zabawa.

„Szczęki 2" reżyserował już ktoś inny, pan Jeannot Szwarc, realizując swój film tak, jakby nie było poprzednika. Nie chodzi tu tylko o wykorzystanie pomysłu fabularnego i samej techniki budowania napięcia, lecz także o prostą logikę samego opowiadania.

Ten sam człowiek. Martin Brody, dzielny szef policji z kąpieliska Amity, przeżywa te same perypetie nie tylko z rekinem, ale głównie z władzami miasteczka, tego co w pierwszym filmie. A ta sytuacja dla wszystkich widzów, którzy Martina Brody znają z pierwszego filmu, jest czystym nonsensem. Jako że sympatyczny policjant nie musi, doprawdy, przekonywać już swych władz o możliwości pojawienia się rekina-potwora, bo tę możliwość pan burmistrz et consortes już znają, a nasz Martin jest, u licha, bohaterem, który potwora już raz pokonał, tracąc przy tym przyjaciela. Co więcej, już jacyś wczasowicze życie w wodach wokół Amity postradali.

Rozpisuję się o tej sprawie błahej, bo w końcu o czystą zabawę chodzi, jedynie dlatego, że zakłócono w ten sposób reguły gry, owej umowy pomiędzy twórcami filmu a widownią. Umowy, w czasie której przez dwie godziny widownia utożsamia się z bohaterami opowieści i w związku z tym pół żartem i pół serio przeżywa wraz z nimi dreszcze emocji i niebezpieczeństwa. W owej części „pół serio" kontroluje to, co choćby w części prawdopodobne, gdy tego zabraknie, czuje się zawiedziona. I tak chyba dzieje się w czasie „Szczęk 2".

A teraz słów kilka o drugiej stronie całej sprawy. Oficjalne dane informują, że eksploatacja filmu Stevena Spielberga przyniosła ponad 100 milionów dolarów zysku. Trudno zatem dziwić się, że zainwestowano 20 milionów dolarów w drugą wersję „Szczęk". Wyniki ich eksploatacji nie w pełni potwierdziły jednak nadzieje producentów. Z powodów, o których wyżej mowa, nie dziwię się temu specjalnie, choć sądzę, że deficytu nie było. Wspomniane tu sumy mówią wiele o kinie jako wielkim biznesie, mówią jednak także wiele o psychosocjologicznej stronie całej sprawy, o potrzebach i oczekiwaniach widowni na całym świecie. Z okazji sukcesów zarówno „Szczęk" Spielberga, jak i serii filmów katastroficznych, z „Płonącym wieżowcem" i „Trzęsieniem ziemi" na czele, pisano o tym jednak już tak dużo, że nie warto tu chyba do spraw tych powracać.

Warto może jednak wspomnieć o innym problemie, nad którym widz, oglądając efekty pracy realizatorów filmu, niewiele się zastanawia. Myślę tu o niezwykłej wprost doskonałości warsztatu filmowego, o czynnikach sprawczych, które pozwalają przeżyć owe ekranowe emocje. Elektroniczny rekin jest w „Szczękach 2" jeszcze doskonalszy w swym wyglądzie i działaniu, niżeli w pierwszej swej wersji. Ale nie o rekinie tu myślę, lecz głównie o znakomitości podwodnych zdjęć i wszystkich zdjęć akcji na powierzchni oceanu. Wielkiej techniki i wielkich umiejętności operatorskich trzeba, by uzyskać to, co nam zademonstrowano. Rodzi się tu refleksja o tym, iż właśnie wielkie filmowe widowisko, wobec którego nie stosujemy kryteriów wartości artystycznej, doskonali warsztat kina, warsztat, który później wykorzystuje się także dla celów wysoko artystycznych. Tak więc ten trwały mariaż dwóch w dziejach filmu nurtów: kina-sztuki i kina-zabawy, ma swe źródła nie tylko w sposobach społecznego i kulturowego funkcjonowania. Uzupełniają się tam, gdzie kino się zaczyna — u źródeł jego technicznych uwarunkowań.

EWA NURCZYŃSKA

KILKA WAŻKICH PYTAŃ

Człowiek zadaje sobie różne pytania. Są wśród nich pytania bagatelne, dotyczące spraw drobnych, ale są też pytania ważkie, dotyczące motywów działania, postaw życiowych. Każdy musi sobie na te pytania odpowiedzieć sam, ale dobrze jest czasem posłuchać, co inni sądzą na podobny temat, jak szukają odpowiedzi na takie same pytania. Tej trudnej roli, wyjaśnienia motywów postępowania, pomocy w znalezieniu odpowiedzi na kilka ważkich pytań, podjął się Wiesław Rogowski. Napisał on niewielką formatem, ale bardzo ważną książeczkę, traktującą o naszych sprawach powszednich, z których składa się i nasz byt narodowy, los każdego z nas i nasza przyszłość.

Wiesław Rogowski pisze o sprawach z pozoru znanych, o ludzkich postawach, o tym, kto i czym kieruje się w życiu. Ale pisze nie dlatego, żeby nam o tym przypomnieć, a pisze dlatego, aby zmusić czytelnika do zastanowienia się nad swoim postępowaniem, nad wyborem drogi, jaką dokonał, nad motywacją naszego codziennego działania. „Nie wszyscy zdają sobie sprawę z tego — pisze W. Rogowski — że naprawdę liczą się w życiu bezinteresowne postawy, które powodują działania nasze na korzyść innych ludzi". A skoro uświadomimy już sobie tę prawdę, to teraz spójrzmy na motywy swego działania. Czy postępujemy tak a nie inaczej, bo z czegoś trzeba żyć, bo to jest dobrze widziane, bo tak wypada, czy też motywy naszego postępowania wiążą się z losem społeczeństwa, wynikają z poczucia więzów społecznych, z ogólnej chęci, aby nie tylko nam było dobrze, ale wszystkim.

Jakież to są ważkie pytania, do zastanowienia się nad którymi chce nas skłonić Wiesław Rogowski?

Jest wśród nich na przykład pytanie o sposób troszczenia się o dobro indywidualne. Każdy ma prawo do szczęścia i życia dostatniego. Ale którędy prowadzi do tego droga, czy wbrew interesowi społecznemu, czy też zgodnie z interesem społecznym? Jest też pytanie o to, czy człowiek powinien być uległy i wszystko robić, co mu każą, czy też powinna go cechować zadziorność?

Tych pytań jest więcej, ale nie o ich wymienianie przecież chodzi, a o sposób szukania na nie odpowiedzi. Wspólną cechą przedstawionego przez Wiesława Rogowskiego rozumowania jest podporządkowanie działania każdego z nas interesowi społecznemu. Autor ma jednak świadomość, że przecież nie wszyscy tak postępują, że ludzie działają wedle różnych motywów, że niekiedy szukają wzorów do naśladowania, stąd też rysuje wzór takich motywacji, jakie przyświecają komunistom. **„Komuniści — pisze — zawsze wysuwają na czoło wartość moralną i wyższość zasady pierwszeństwa dobra ogólnego nad własnym"**. Nie dość — powiada w swojej książce — dobrze pracować, być solidnym, rzetelnym. Są to wszystko cechy poszukiwane i godne naśladowania. Ale tak postępuje wielu ludzi. Są oni nazywani porządnymi ludźmi, dobrymi pracownikami. Dbają o rodzinę, chcą dobrze zarobić, aby dobrze żyć. I nic więcej. Społeczeństwo ich nie obchodzi. Mogą nawet „zapisać się do partii", ale czy będą komunistami?

Co to znaczy być komunistą?

„...być komunistą — pisze Wiesław Rogowski — to nie jest to samo, co uzyskać określone kwalifikacje. Być nim oznacza żyć i pracować dla innych, dążyć do ulepszenia świata i siebie samego. A więc nie jest to osiągnięcie pewnego stanu, ale ciągłe dążenie, ciągły rozwój, stale kontrolowany przez świadomość. Trzeba więc nieustannie działać, poszerzać wiedzę i poddawać efekty pracy ocenie moralnej, ideowej i politycznej, z punktu widzenia dobra klasy robotników, interesów ludzi pracy".

Nie jest to wszakże książka przeznaczona tylko dla tych, którzy stają przed ważną życiową decyzją i zastanawiają się, czy mają wejść w szeregi kandydatów PZPR. Jest to książka dla wszystkich, dla tych również, którzy dawno już są w partii i zajęci natłokiem codziennych spraw i problemów nie zawsze mają czas zastanowić się nad motywami swego postępowania. A przecież zastanawiać się nie tylko warto, ale trzeba.

Wiesław Rogowski przypomina cały zestaw zasad, jakimi powinien kierować się komunista, jeśli już dokonał wyboru i stał się członkiem partii, ludzi, działających w interesie całego narodu, dla jego dobra, w imię interesów proletariatu. Przypomina o potrzebie dyskusji, która jest warunkiem prawidłowego funkcjonowania centralizmu demokratycznego. O konieczności podporządkowania się decyzjom większości, choć w dyskusji poprzedzającej te decyzje miało się inne zdanie. Przypomina wreszcie o potrzebie nieustannego zacieśniania kontaktu z masami, tkwienia wśród nich, uważnego słuchania ich opinii, co jest obowiązkiem każdego komunisty. Komunista — przypomina W. Rogowski — musi nade wszystko liczyć się z myślącą większością gdyż **„to ona decyduje o wartości i sile narodu"**, musi działać zgodnie z klasowym interesem proletariatu i nie zapominać o dialektyce zmian zachodzących w świecie.

„Jeśli symbolem przynależności do partii — pisze W. Rogowski — **jest legitymacja komunisty, to należy ją nosić na sercu, a nie tylko w kieszeni"** Zaangażowanie komunisty wynika bowiem z jego wewnętrznego przekonania o słuszności dokonanego wyboru, z głębokiej ideowości, z chęci nieustannego przeobrażania świata, aby ludziom żyło się coraz lepiej, bo ich dobro składa się na siłę kraju.

Gorąco więc zachęcam do sięgnięcia po książkę Wiesława Rogowskiego **„Być komunistą"**, a zachęcam również i dlatego, że skoro komunista powinien być krytyczny stale zastanawiać się nad tym, czy wszystko dzieje się zgodnie z dobrem klasy robotniczej i narodu, to powinien również od czasu do czasu zastanowić się i nad motywami swego postępowania.

L. W.

Wiesław Rogowski — „Być komunistą". Książka i Wiedza, Warszawa 1978, str. 174, cena zł 15,—

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

SPRAWY BIESIADNE

Słowo „karczma" znajduje się w brücknerowskim słowniku etymologicznym języka polskiego i nasz wybitny językoznawca wywodzi je od dzbana. Twierdzi też, że jest to rdzennie słowiańskie słowo i dopiero od nas przejęli je Niemcy. Podobnie jednak jak Brückner także **profesor Baranowski** nie może odpowiedzieć na pytanie, kiedy na ziemiach polskich powstały karczmy.

Nic dziwnego — musiały być „od zawsze", jeszcze wcześniej niż powstało określające je słowo. A i ze słowem jest kłopot, bo przecież w zapisach historycznych występują polskie karczmy pod łacińskim mianem „taberna". Ale fakt, że były. Nie ma się czego wstydzić — biesiada jest taką samą ludzką potrzebą, jak miłość i sen.

Prof. Bohdan Baranowski przyrządził o polskich karczmach wielce urokliwą książeczkę — a wydano ją w nobliwej serii „Ossolineum". W serii, w której znalazły się i polska broń, i polski fajans, i polskie zegary, i polskie szkło...

Swojej ciekawej opowieści nie ogranicza **prof. Baranowski** tylko do karczmy. Zmieniały się przecież obyczaje, ludzie zaczęli wędrować, rozwijały się miasta... Więc książka nosi jeszcze podtytuł „Restauracja-kawiarnia". Ba, jest w niej także rozdział „Cienie i blaski gastronomii Polski Ludowej". Nawiasem mówiąc, jest to najkrótszy rozdział tej książki.

Osobną wartość stanowi ponad 160 ilustracji — od najdawniejszych sztychów i rysunków, po współczesne wnętrze łódzkiego aperitif-baru przy Piotrkowskiej.

Dość jednak tej reklamy, bo książka jej nie potrzebuje — już praktycznie zniknęła z półek księgarskich. Nie piszę zresztą recenzji — lepiej to zrobi historyk — tylko refleksje nad dziejami obyczajów. Otóż ani karczma, ani restauracja nigdy nie miały u nas dobrej prasy. Jest to do pewnego stopnia zrozumiałe — najpierw panowie rozpijali chłopów, a potem miejskie knajpy gromadziły tzw. kryminogenne środowiska. To wszystko prawda, ale tylko jedna jej strona.

Bo przecież nawet na tej zacofanej, pańszczyźnianej wsi w funkcjach karczmy możemy odnaleźć elementy pozytywne. To było jedyne miejsce, do którego można było uciec spod czujnego oka pana i plebana. To przecież w karczmie ksiądz Robak mówił chłopom o Polsce — to w karczmie zawiązywały się nici spisków i patriotycznych porozumień.

Podobnie jest w literaturze i sztuce. Czy można sobie wyobrazić międzywojenną cyganerię bez **„Udziałowej"** bez szopek politycznych **„Pod Pikadorem"**, bez skamandrytów w **„Ziemiańskiej"**? Czy powstałby krakowski **„Zielony Balonik"**, gdyby restaurator Jan Michalik nie miał serca do artystów?

O ileż uboższa byłaby nasza literatura, gdyby wykreślić z niej polską karczmę, restaurację kawiarnię... Wybitny polski matematyk, **prof. Stefan Banach**, swoje najbardziej odkrywcze formuły kreślił na marmurowym blacie knajpki o nazwie **„Szkocka"**. Irytowało to właściciela, że mu bazgrzą po stołach, więc kupił gruby brulion. Dziś tzw. **„Księga Szkocka"** jest odnotowana w literaturze naukowej całego świata. A powstała w bliskim sąsiedztwie smukłej butelki. Pamiętnikarze nawet twierdzą, że z jej udziałem.

Janusz Stradecki w swojej książce o skamandrytach poświęcił jeden rozdział funkcjom kawiarni literackiej. Były one rozliczne i rozliczne były modele owej kawiarni — od modelu kabaretu po model klubu. Jedno jest pewne — literatura międzywojenna bez kawiarni byłaby o wiele uboższa. A w ogóle byłaby inna, gdyby jej odjąć owe kawiarniane funkcje integracyjne, kreacyjne, instrumentalne i popularyzacyjne.

Prezycyjny i naukowy wywód **Janusza Stradeckiego** na temat kawiarni literackiej dobrze jest przeczytać równocześnie ze wspomnieniami **Słonimskiego, Iwaszkiewicza, Waydel-Dmochowskiej, Zaruby...** Geografia wędrówki międzywojennej cyganerii to nie tylko trasa między **„Ziemiańską"** a **„Udziałową"** — to także kawiarnia **„Sim"**, **„Astoria"**, **Cafe IPS**, czyli Kawiarnia Artystów, to biesiady **„u Wróbla"** z gargantuicznym **Francem Fiszerem**, to popremierowe libacje pikadorczyków w knajpie **„u Turka"**, to także wesele Juliana Tuwima w słynnym barze na Gnojnej... O roli skamandryckiego stolika w IPS-ie pisał także sam **Karol Irzykowski** w swoim przewodniku literackim po stolicy lat międzywojennych.

Kawiarnia literacka międzywojnia nie gromadziła marginesu — ona była ośrodkiem tej literatury. I patrzcie! — jak wcale to literaturze nie zaszkodziło. Więcej — bez kawiarni literatura międzywojenna byłaby z pewnością mniej barwna. Odarta z anegdoty, z kabaretu, z legendy...

Jak widać wkład polskiej gastronomii w literaturę i sztukę może być bardzo znaczący. Trzeba tylko polubić artystów. I z tym jest największy kłopot. Nie tylko zresztą w gastronomii.

WIDOK

Z GALERKI

KAZIMIERZ DEJMEK

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski

PROPOZYCJE

POMÓC CZŁOWIEKOWI

Wśród bogactwa ludzkich postaw można z grubsza wyróżnić dwie przeciwstawne. Jedni uważają że to, co robią jest najważniejsze na świecie i bez nich i wyników ich pracy świat zginie. Jest to postawa może i przesadna, ale trudno ją potępiać. Przeciwnie, należałoby raczej zachęcać innych do naśladowania. I druga z której wynika raczej obojętność do tego, co się robi. Wyznawcy takich zasad starają się swoim stosunkiem do życia demonstrować, że właściwie od nich nic nie zależy, oni nic nie mogą i to, czy oni będą wysilali się, czy nie, to i tak nic nie zmieni, bo świat rozwija się niejako automatycznie, a oni odgrywają w nim role jedynie statystów. Nie jest to postawa godna pochwały i raczej należy ją zwalczać.

Nie mam zamiaru w niczym pomniejszać społecznej doniosłości niczyjej pracy, ale nie ulega dla mnie wątpliwości, że wśród bogatej mozaiki instytucji, jakimi obdarzyło nas życie, niektóre mają wysoką społeczną użyteczność, gdzie takie postawy byłyby już karygodne. Na przykład, co by się działo, gdyby strażacy uznali, że gaszenie pożarów jest może i ważne, ale można to robić bez zbytniego pośpiechu, bo jak nawet coś się skopci to i tak świat nie zatrzymą się w miejscu. Albo, gdyby lekarz doszedł do wniosku, że wbrew pozorom nie jest wcale tak łatwo umierać, trzeba się przedtem dobrze nachorować, nameczyć i dlatego nie ma się co śpieszyć do chorego. Są to postawy nie do pomyślenia wśród ludzi pracujących w służbie zdrowia. A jednak...

Łukaszowi R. zachorowało dziecko. Dzieciom to się zdarza i lekarze zbytnio się tym nie przejmują, uważając, że rodzice zawsze przesadzają. Ale Łukasz R. nie przesadzał i był nawet u lekarza, który zapisał dziecku pastylki. Dziecko jednak nie mogło ich łykać, miało bowiem silnie opuchnięte gardło i coraz wyższą gorączkę. Łukasz R. wrócił z pracy około 20.00. Był 11 czerwca 1979 roku. Postanowił nie czekać do rana, tylko wezwać pogotowie.

Mieszka jednak na Widzewie-Wschodzie, poczta już była nieczynna, a automatów telefonicznych nigdzie w pobliżu nie było. Pojechał więc własnym samochodem na ulicę H. Sienkiewicza i zgłosił wezwanie do chorego dziecka. Była godzina 20.10.

Łukasz R. nie wiedział że pogotowie się zreorganizowało i teraz każda dzielnica ma własne. Odesłano go do pogotowia na Wizewie, przekazując tam wezwanie. Pojechał na Widzew, gdyż uważał, że skoro ma samochód, to poprowadzi karetkę właściwą i najkrótszą drogą, bowiem widział nie raz jak karetki pogotowia szukają właściwego adresu, błądząc po nowych osiedlach. Na Widzewie zgłoszenie już było, ale dyżurujący lekarz pediatra nie miał karetki, która pojechała zrobić gdzieś zabiegi.

Przed pogotowiem widzewskim nie bardzo jest gdzie parkować, więc Łukasz R. wjechał na chodnik i tam postawił samochód. Dowiedziawszy się, że ma czekać wrócił do samochodu i czekał.

Przed pogotowiem widzewskim stała karetka o numerze rejestracyjnym LDA 623K. Przyjechała następna — LDA 136B. Łukasz R. poszedł więc zapytać czy to może już ta. A kiedy okazało się, że nie, zaproponował, że może lekarza zawieźć własnym samochodem. Okazało się to niemożliwe. Lekarz czekał na „swoją" karetkę. Tymczasem karetka LDA 136B odwiozła dwie panie z kwiatami wróciła, a trzeciej nadal nie było. Łukasz R. udał się więc ponownie do dyspozytorni z prośbą o przyśpieszenie, bo czas mija, dziecko chore, a karetkami jeżdżą panie z kwiatami, lekarz natomiast jechać nie może. Wreszcie przyjechała oczekiwana karetka LDA 626K. W tym czasie przyjechał też radiowóz MO.

Jak się okazało pogotowie widzewskie wezwało milicję, gdyż rzekomo samochód Łukasza R. blokował wyjazd karetek pogotowia. Łukasz R. wyjaśnił milicjantom, jak sprawy wyglądają, ci kazali mu stanąć w innym miejscu, gdyż parkować na chodniku raczej nie należało. Po czym Łukasz R. pojechał do domu, upewniwszy się tylko u dyspozytorki, że lekarz już pojechał do chorego dziecka, a milicję ona wezwała. Karetka widzewskiego pogotowia była u Łukasza R. około godziny 22.00.

Wszystkiemu winien jest oczywiście Łukasz R. Gdyby bowiem znalazł na Widzewie-Wschodzie automat telefoniczny i do tego jeszcze sprawny, to czekałby spokojnie w domu i myślał, że lekarze są bardzo zajęci innymi chorymi. Denerwowałby się bardzo, ale to jego ojcowskie prawo. Nie miałby rozmowy z milicją na temat parkowania na chodniku i wielu innych kłopotów. Mógł spokojnie denerwować się w domu, a nie pod widzewskim pogotowiem.

Pogotowie zostało powołane do tego, aby pomagać ludziom. Robi to, ale ma wiele obiektywnych trudności, z którymi się boryka. O trudnościach tych pacjenci wiedzieć nie powinni. A kto wtyka nos tam gdzie nie trzeba, ten sam sobie szkodzi, bo dowiaduje się, że karetki jeżdżą same Bóg wie gdzie i nie można ich wezwać, choć wszystkie posiadają radiotelefony. Dziwne to wszystko, ale prawdziwe.

MARCIN RODAK

LEWYM OKIEM

SKOCZNOŚĆ INŻYNIERÓW BUDOWLANYCH

Nie tylko sztuka — ta przodująca, kreatywna, oparta przecież na wyjątkowej wyobraźni — nie dogoni nigdy rzeczywistości. Także codzienna ciężka robota zawodowych dowcipnisiów, pracujących w pocie czoła humorystów i potrząsających kaduceuszem satyryków nie zdoła stworzyć czegoś tak absurdalnego i śmiesznego, jak autentyczne, na co dzień spotykane fakty.

Zapomniany trochę, a przypomniany niedawno nader niefortunnie przez telewizję komediopisarz Bruno Winawer, podśmiewał się często z uczonych, którzy w oderwaniu od świata i jego uroków badali sprawy przedziwne, analizowali jakieś niezmiernie małe problemiki, trawili całe życie nad zgłębianiem czegoś absolutnie niepotrzebnego. Nie ma już takich uczonych. Zastąpiły ich potężne instytuty, zatrudniające całe legiony ludzi zwanych pracownikami naukowymi. Ci ludzie jednak nadal muszą jak sto lat temu, a co najmniej bardzo chcą stawiać sobie przed nazwiskiem literki „dr". Bardzo chcą być doktorami, a żeby się nimi stać — muszą pisać prace opatrzone tytułami, które o sto długości wyprzedzają najbardziej — w założeniu — komiczne dysertacje nie tylko mędrców ze sztuk winawerowskich, ale nawet ze sztubackich wydrzeźniających dowcipuszków.

Ja wiem — czasami dla ćwierćinteligenta śmieszne jest po prostu to, czego ćwierćinteligent nie rozumie. Ale dość często czytamy w prasie tytuły prac doktorskich, które wcale nie zawierają trudno brzmiących słów i nie znanych laikowi terminów, wcale nie sugerują spraw bardzo trudnych i tajemniczych. Cóż jest niezrozumiałego w takim na przykład temacie: „Gibkość studentów i studentek Wyższej Szkoły Inżynieryjnej w układzie wydziałów" albo „Kształtowanie się skoczności u studentów wydziału Budownictwa Lądowego"? Są to tematy jasne jak słońce, wiemy dokładnie, o co chodzi: o to, jak daleko skaczą studenci budownictwa lądowego i jaka jest różnica w gibkości studentek z różnych wydziałów uczelni technicznej. No — ale co z tego ma wyniknąć? Jaki jest do stu tysięcy batalionów — jak za moich czasów klęli bohaterowie morskich opowieści — jaki jest związek pomiędzy budownictwem a skakaniem? Po jaką ciężką grypę badać zdolność do skakania studentek chemii spożywczej, ujmować to w misterne wykresy i trzypiętrowe wzory matematyczne, najeżone wszystkimi literami greckiego alfabetu? Po co komu z ciężkim trudem zdobyta pewność, że w roku 1979 na pewnym wydziale WSI — powiedzmy: w Bydgoszczy — studentki wyginały się w biodrach łatwiej, niż na wydziale sąsiednim?

Trochę niepokojącej tajemnicy tkwi w tematach takich, jak: „Koordynacja ruchów kroczących kota w czasie symetrycznych rodzajów lokomocji" lub „Oddziaływanie między literami w percepcji pisma drukowanego". Nie wiemy, co to jest symetryczna lokomocja, niezbyt nam się podoba zbitka „w czasie lokomocji". Nie jesteśmy też pewni, czy można powiedzieć po polsku „oddziaływanie w percepcji", a tym bardziej „oddziaływanie między literami". Oddziaływanie z okolicznikiem miejsca: „gdzie"? Oddziaływanie w spostrzeganiu za ścianą? Jakieś językowe cudactwo. Ale o ileż dziwniejszy jest uczony młody człowiek, zapełniający kilkaset stron druku rozważaniami, jak oddziałują na czytelnika przerwy pomiędzy literkami. Może to będzie nowa metoda badania dzieła literackiego? Dotychczas szukało się sensu w podtekstach, w tym się mogło kryć pomiędzy i poza słowami, nigdy doskonale nie przylegającymi do myśli. A tu może okazać się, że pomiędzy słowami to znaczy po prostu pomiędzy literkami druku...

Specjalizacja zawęża pola badań naukowych. Następne tematy prac doktorskich mogą być zatem takie: „Gibkość małego palca prawej nogi wśród urzędników centrali jajczarsko-papierniczej w czasie lokomocji symetrycznej kota" i „Oddziaływanie litera na spostrzeganie przerw pomiędzy mrugnięciami lewego oka".

Czekamy na ogłoszenie o obronie tych prac.

ĆWIEK

SPORT

Z WODĄ W USTACH

Optymistą trzeba być do końca. Taka zasada obowiązuje w naszym sporcie. Wiadomo było, że do tej pory nie udało się naszym tenisistom wygrać z Włochami, ale Mirosław Czupryniak, sekretarz generalny Polskiego Związku Tenisowego był dobrej myśli. — „Polacy nie oddadzą łatwo tej szansy" — utrzymywał. Dlaczego? A bo „dobry poziom zaprezentuje Nowicki" bo „bardzo regularnie gra Drzymalski", bo „najbardziej liczymy oczywiście na Fibaka". Wojciech Fibak jest bardzo utalentowanym tenisistą chociaż mu ostatnio nie bardzo dobrze idzie, ale sam jeden polskiego tenisa nie uratuje. I tak do 7 przegranych dodaliśmy teraz ósmą, a w rozgrywkach Pucharu Davisa awansowali Włosi.

Każdy stara się być optymistą zgodnie z wymaganiami chwili. Nawet wbrew faktom. Dopiero kiedy nasi wspaniali chłopcy wezmą kolejne przesławne lanie, dopiero wtedy okazuje się, że wszyscy dawno wiedzieli, że „król jest nagi", ale milczeli zgodnie, aby nie psuć dobrego samopoczucia. Komu? Działaczom sportowym oczywiście!

Klasycznym przykładem tego są młodzi piłkarze. Działacze starali się kryć przed opinią sportową ich wybryki, aby tylko „nie zapeszyć", aby tylko czasem młodym piłkarzom nie stała się „krzywda". A kiedy dziennikarz napisał zgodnie z prawdą, że dwóch młodych zawodników otrzymało w CSRS czerwone kartki, to nie tylko „postawiono go na dywanik", ale jeszcze sugerowano przełożonym, aby pozbyli się go z pracy.

Do Turcji z piłkarskimi juniorami nie pojechał już żaden dziennikarz, a o przebiegu meczu opowiadał prasie przewodniczący Sekcji Młodzieżowej PZPN — Marian Bednarczyk. Nie jest to jedyny przypadek, kiedy działacz wie lepiej co i jak trzeba pisać. Upowszechnienie tej metody mogłoby spowodować, że dziennikarze przestaliby być w ogóle potrzebni.

Dziennikarze też nie są bez winy. Zdarza się bowiem, że cechuje ich łagodność i dobre serce. Spokojnie dochodzą do wniosku, że lepiej nie psuć dobrego samopoczucia działaczom i udają, że nic nie wiedzą. Nie wszyscy oczywiście, ale bywają i tacy. Później, kiedy już jest po prześlawnym lanju, kiedy szydło wychodzi z worka, wypuszczają wodę z ust i głośno wszem i wobec dowodzą, że oni dawno o tym wiedzieli...

Okazuje się, że odejście Edmunda Zientary od trenowania juniorów i zastąpienie go Henrykiem Apostelem, nie było najlepszym rozwiązaniem. Edmund Zientara miał poszanowanie wśród klubowych trenerów, dobrze z nimi żył i kiedy postawił na trenowanie młodzieży w klubach, koledzy trenerzy potraktowali takj sposób działania z całą życzliwością. Henryk Apostel w klubach już takiego posłuchu nie miał. Junjorzy powołani do reprezentacji kraju siedzieli na ławkach rezerwowych, nie grali, nikt się nimi w klubach nie interesował. W klubowych planach liczy się przecież ligowa punktacja, a nie interes tej czy innej reprezentacji. A tych reprezentacji mamy teraz kilka, to i właściwie kluby musiałyby interesować się przede wszystkim reprezentantami, a nie rozgrywkami ligowymi i punktami.

Również obozy dla juniorów nie spełniły swego zadania, gdyż ściągano tam wszystkich, na których spoczęło życzliwe oko selekcjonera a później dopiero spośród nich wybierano najlepszych. Powołanie na obóz nie równało się więc powołaniu do kadry i młodzi piłkarze mieli także coś w nosie. W końcu od starszych kolegów uczą się postępowania, a starszym takie praktyki też by się nie podobały. I tak to rozłożyła się nam młodzież piłkarska moralnie. Teraz wszyscy są bardzo mądrzy, dawno już wszystko wiedzieli, tylko nie mieli czasu, żeby o tym głośno powiedzieć.

Optymizm nadal obowiązuje. Oto Janusz Peciak — po ciężkiej kontuzji ścięgna Achillesa — przygotowuje się do mistrzostw świata w pięcioboju, jakie odbędą się w sierpniu 1979 roku w Budapeszcie. Jest dobrej myśli. Pozostało mu wprawdzie mało czasu na przygotowanie się i zbyt ostrym treningiem może sobie zaszkodzić, ale nikt woli o tym nie myśleć. Może się uda. Oby!

Z drugiej strony trzeźwe doradzanie sportowcom też jest niebezpieczne. Oto Jerzy Zmarzlik odważył się doradzić Jerzemu Rybickiemu, aby wycofał się z czynnego uprawiania sportu, bo „nie można bezkarnie padać na deski niemal w każdej walce". I doczekał się, że Jerzy Rybicki doradził Jerzemu Zmarzlikowi, aby... porzucił dziennikarstwo, bo się już zmęczył pisaniem o boksie. Ale w tym wypadku racja jest po stronie J. Zmarzlika nawet, gdyby nie miał całej racji w sprawie J. Rybickiego. Sumienie będzie miał spokojne. Ot, co.

BOGDA MADEJ

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi — dyr. Piotr Sagan. Adres redakcji: ul. Mickiewicza 12, kod poczt. 90-438 Telefony: 652-44 sekretariat i red. naczelny 680-99, 677-70. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" — dyr. Bogusław Kucab. Nr indeksu 26762. Zam. 1445. A-2.

Załącznik nr. 30(-)179

HASŁO NUMERU: Oszczędzaj energię, nie pływaj pod prąd

NOWE PRZYGODY REDAKTORA MAJA

Nasz fotoreporter fotografując pewien obiekt, ogólnie dostępny, ogólnie oglądany i nie zastrzeżony, chciał uzyskać dokładniejsze o nim informacje, więc udał się do wewnętrz. Tam oko w oko stanął z Urzędniczką.

Dialog jaki się potoczył nadaje się do kolejnego odcinka „Życia na gorąco".

— *A po co pan fotografuje?*
— *Gazecie jest to potrzebne.*
— *Czy uzgodnił pan to z dyrekcją?*
— *Z jaką dyrekcją?*
— *Naszą.*
— *Co?*
— *Fotografowanie.*
— *Nie, uzgodniłem z „Odgłosami".*
— *To nas nie obchodzi. Trzeba mieć zgodę dyrekcji.*
— *Na co?*
— *Na fotografowanie.*

(10 minut dalszego dialogu w tym stylu).

— *Ale ja już zrobiłem zajęcia. Mnie chodzi tylko o parę informacji. Jeśli pani mi ich nie udzieli, zacznę je z mniejszym, jak widzę trudem, gdzie indziej. Do widzenia.*
— *O, tak pan nie wyjdzie. Zawołam portiera.*
— *Po co? Sam wyjdę.*
— *Ale pan fotografował bez naszej zgody. To jest niedopuszczalne.*

(Dalsze 10 min. dialogu j.w.)

— *Nie, proszę pana, tak pan nie wyjdzie. O czym jest w tym artykule?*
— *Bardzo panią przepraszam, ale to nie ma nic do rzeczy.*
— *To panu się tak wydaje. Z dyrekcją jest to uzgodnione?*
— *Co?*
— *Artykuł.*
— *Też musi być?*
— *A jak pan sobie wyobraża? Piszecie coś o nas, a my nic o tym nie wiemy? Nawet dyrektor?*

(Pół godziny dialogu j.w.)

— *Jak pan przyniesie artykuł, to zobaczymy czy to może pójść, czy nie.*
— *Ale to nie ja, to redaktor...*
— *To niech przyjdzie redaktor.*

POWOLI ZAPADŁ ZMIERZCH. I GDYBY NIE INTERWENCJA „INTERPOLU", NASZ FOTOREPORTER ZOSTAŁBY NA ZAWSZE Z URZĘDNICZKĄ. PRZYSTOJNY JEST NASZ FOTOREPORTER.

KATORŻNIK

ŻEGLOWANIE

Rys. Jan Zieliński

PUŁAPKA

Kiedy jedziesz od strony Widzewa-Wschodu ulicą Armii Czerwonej do centrum, możesz, jeśli masz szczęście, dostrzec przy skrzyżowaniu z ul. Szpitalną znak o ograniczeniu szybkości do 30 km/h. Jeśli szczęścia nie masz (np. znak zasłonięty jest przez przejeżdżający tramwaj), prujesz dalej pięćdziesiątką i płacisz...

Znak-pułapkę ustawiono dowcipnie daleko od drogi, za torami tramwajowymi, za barierką odgraniczającą torowisko od jezdni.

Foto. R. Łucyszyn

ANI SERA ANI DYREKTORA

Magister inżynier Zygmunt Żeromski opublikował nakładem Wydawnictw Naukowo-Technicznych książkę pod lakonicznym tytułem „SERY". Tytuł ten wszakże nie oddaje bogactwa treści tej książki. Wystarczy tylko przeczytać nazwy serów, jakich dorobiły się różne nacje, a ślini się człowiek niczem niemowlę. Aliści — jak odkrył to Bogdan Maciejewski w „Sztandarze Młodych" — książka ta ma jeden i to podstawowy brak. Nie ma rozdziału pod tytułem: „Gdzie te sery kupić?". Jest to racja, gdyż wystarczy wejść do jakiegokolwiek sklepu spożywczego, aby przekonać się, że serowa rzeczywistość jest niebywale uboga. A nam się chce smacznych, pachnących upojnie serów. Co robić?

W Lublinie, na skutek permanentnego braku serów, mleka i innych przetworów mleczarskich, zawieszono w czynnościach dyrektora Zakładów Mleczarskich, odwołano głównego dyspozytora Spółdzielni Transportu Wiejskiego Oddział nr 1, udzielono nagany kierowniczce Wydziału Handlu Urzędu Miasta oraz kierownikom sklepów. Fakty te podano do publicznej wiadomości za pośrednictwem „Sztandaru Ludu".

Ale, czy poprawiło się zaopatrzenie w sery Na to pytanie, jak do tej pory nie ma odpowiedzi. Dlatego proponujemy zastosowanie w Łodzi jakiejś innej metody...

S.M.AKOSZ

Radość z gołych ścian

— **„Chwilowo mam w swoim otrzymanym nareszcie mieszkaniu tylko gołe ściany"** — oświadczył z radością Edwardowi Trojanowskiemu z „Expressu Wieczornego" Józef Łuszczek i dodał, że wyjeżdża trenować do Australii, gdzie akurat jest zima. A poza tym czuje się znakomicie.

Dlaczego nie znachor?

Janusz Peciak uległ kontuzji. **„To było jednak coś poważnego** — pisze w tymże „Expressie Wieczornym" Piotr Stawicki. — **Domowe leczenie, okłady, nacierania rozgrzewającymi maściami, kompresy niewiele pomogły. Do akcji leczenia musiał** (podkreślenie nasze — „Załącznik") **wkroczyć dr J. Sowiński".**

A nie lepiej było pójść do znachora?

Hipotezy

— **„Nie wiem dlaczego świeci Słońce"** — przyznał się M. Szpaginowi prof. Safronow z Instytutu Fizyki Ziemi Akademii Nauk ZSRR. Natomiast inny radziecki uczony — prof. Szkiowski, dotychczas wyznający poglądy o istnieniu obcych cywilizacji w Kosmosie, doszedł do wniosku, że nie mamy w ogóle rozumnych kosmicznych braci. Sprawa jednak nie jest przesądzona. Ciągle bowiem nie wiadomo, skąd się biorą i co robią te małe zielone ludziki, które nieustannie pętają się po Ziemi.

TO i TAMTO

Jak to dobrze mieć telefon!

Z posiadania telefonu płyną różne pożytki. Na przykład dzwoni toto.

— Słucham.
— Jak się czujesz?
— Dziękuję, dobrze.
— To świetnie. To chwała Bogu. Tak się cieszę, że już się czujesz dobrze.
— Przepraszam, ale dlaczego miałbym czuć się źle?
— No przecież... Czy ja mówię z Bolkiem?
— Nie!

Koniec rozmowy i radość, że jednak jestem zdrowy. Bez telefonu mógłbym sobie tego nie uświadomić.

Z.DROWY

MIECZYSŁAW M. SZARGAN FRASZKI

KURA DOMOWA

Nioska
I boska!

PIWO Z GRZYWKĄ

Nawarzyłem sobie piwka —
Nos zadarty, ruda grzywka.

PROTEST FRASZKA

Rano wstałem!
Nie dostałem.

NA BABKĘ

Gdy drożdżową zjadam babkę
Błagam babkę o dokładkę.

WIADOMOŚCI SEKSUALNE

DALSZY ROZWÓJ USŁUG

„Usługi matrymonialne poleca psycholog. Dyskrecja zapewniona (...)" — donosi w ogłoszeniach „Dziennik Popularny".

Za naszej młodości nazywało się to całkiem inaczej. A poza tym nie trzeba się było ogłaszać, wychodziło się po klientki na deptak.

KORNIK - A TEŻ MA!

„Życie i Nowoczesność" z powodzeniem tropi takie prace naukowe które mogłyby zaginąć w pomroce dziejów. Ostatnio wpadło na trop pracy czterech młodych pracowników nauki (Grochalskiego, Michalskiego, Nowaka i Pasiewicza), którzy w 4 numerze kwartalnika „Przegląd Zoologiczny" z 1978 roku opublikowali wyniki swoich badań nad 800... penisami rodzimej odmiany korników. Wśród tak wielkiej liczby eksponatów znaleźli tylko dwa przypadki odstępstwa od normy.

Przy okazji mogliśmy się dowiedzieć z czego jest zbudowany penis kornika. Posiada on: „nóżki, klamrę, uszko, płaty grzbietowe, boczne i odcięte, rynienkę oraz szpikulec". Jeden z korników miał te elementy penisa „nieregularnie schitynizowane". Drugi kornik posiadał natomiast dwa penisy (ale cwaniura!) ale z jednym szpikulcem

Cieszymy się niebywale z tego odkrycia i niecierpliwie oczekujemy pracy naukowej na temat budowy penisa komara.

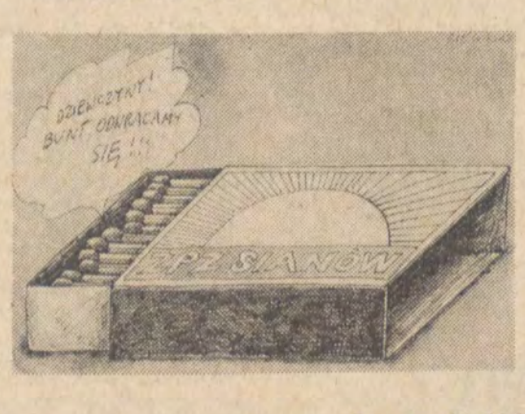

Rys. Jan Zieliński

Pisane specjalnie dla „Załącznika"

RICARDO DORROBA

DO DULCYNEI

Daj mi dłoń swoją! Niechaj w mojej legnie,
jak drżące ciało na miłosnym łożu —
i niech uściski, chęciom odpowiednie,
mej odda dłoni na szczęścia przedprożu.

Daj mi dłoń swoją! Niechaj palce moje
wkoło się twoich owiną jak bluszcze,
niech toczą z nimi wnet bezkrwawe boje,
choć krew wezbrana pod skórą nam pluszcze.

Daj mi dłoń swoją! Niech w rąk zespoleniu
mijają chwile, wstrzymane oddechem,
niech się ku swemu toczy przeznaczeniu
los nasz, znaczony rozkoszą i grzechem.

Daj mi dłoń swoją! Niech oddania gestem
ręce się zamkną we wspólnym obrębie...
Gdy dłoń twą trzymam, to spokojny jestem,
że nie dostanę od ciebie po gębie.

Przekład: O. R. BRODA

ŻYCZYMY CZWORACZKÓW

Niedługo, a będziemy mieć najuprzejmiejszych milicjantów w kraju. Stanie się to za sprawą trasy W—Z, której projektanci zapomnieli zupełnie o tym, że mamy sporo wyżu, który trzeba wozić w wózkach. W żadnym z przejść podziemnych nie ma pochylni, po której można by zepchnąć, lub pod którą można by podchnąć, wózek z berbeciem. W sukurs przychodzą właśnie milicjanci, przeprowadzający mamy z wózkami przez jezdnię w miejscach niedozwolonych.

Chwała MO. A każdemu z projektantów życzymy czworaczków.

DWIE STRONY

Coś, co mogłoby się nazywać „ukwiałem", gdyby poeta MIECZYSŁAW MICHAŁ SZARGAN — mimo zmęczenia upałem — baczniej przyglądał się kobietom:

O dobrej i złej stronie upału

„Upał ma tę dobrą stronę, że kobiety chodzą roznegliżowane i tę złą, że wszystkie".

tb

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI WIELKA PCHŁA

MINI POWIEŚĆ O!?

ODCINEK 9

Torpeda nadepnął inwalidzie na odcisk i z wielkiego roztargnienia powiedział „przepraszam". Nadepnięty zaczął jeszcze raz wierzyć w człowieka i był szczęśliwy, natomiast stojący pod murem facet z saturatorem zaklął szpetnie, bo zanosiło się na deszcz. Ze złością nacisnął szklankę odwróconą do góry dnem, coś tam pod nią zamigotało, nazywało się to płukaniem naczyń. Gronkowce złociste i inne drobnoustroje śmiały się w głos z tej całej higieny. Cóż to jednak znaczyło wobec otrzymanej wczoraj sąsiedzkiej informacji?

Był czas, kiedy Torpeda chciał poświęcić się karierze filmowej. Godzinami stał przed kinem, na dziesięciu odpalonych bilecikach miało się dwie sety, a nikomu jeszcze nie śniły się regulacje płac: dwie sety to było coś. Kaszankę miałeś we flaku, nie w ceracie. Bułki trzeszczały, w maśle nie było cholesterolu. Późną wiosną gotowało się bób.

Później jeden znajomek zaczął wyciskać z jakiegoś chemicznego świństwa Kubusia Puchatka i Torpeda jeździł z tym po małomiasteczkowych sklepach. Szło żyć. Za czterdzieści Kubusiów kupowałeś nonajron. Żanetka nie dawała wcale pończoch do łapania oczek. — Puściło? Pokaż! — Wystarczyło jak pokazała, one zawsze zaczynały lecieć od góry. Szedł i kupował nowe.

Niestety — konsumpcja nie była jeszcze wtedy kategorią dopuszczalną światopoglądowo. Wyciskacz poszedł na etat, a z czego żył — nie wiadomo. Trzeba było sięgnąć do podłóg: nowy prezes dawał adresik, zaprawę, kolor i metalowe wióry. Zarobek dzielił uczciwie na pół. Sześć — siedem godzin człowiek ciężko się napocił, parkiety teraz z buka i cholera wie z czego, gwiżdżą pod cykliną, a czarne i czarne. Takich siedem godzin czuło się w krzyżu przez pięć dni, potem trzeba było znów coś robić, kapitał się kończył, śledzie pachniały w gablotach. Zapinki? Mogą być.

Fajni są ci Szwedzi. Wymyślili takie okna, których ani otworzyć, ani zamknąć, przynajmniej w naszym nadwiślańskim klimacie. Ciotka Zuzia w Komorowie miała okna tutejsze i można je było otworzyć kiedy duchota na dworze, aż strach, ale znów te przeciągi! Aż w głowie łupie. Więc gotowała szczaw i kopytka, nie otwierając nigdy drogi przeciągom. Ludziom trudno dogodzić: w blokach kto by nie zamieszkał — zaraz chce otwierać i wietrzyć. A tu szwedzki wynalazek w nadwiślańskim wykonaniu nie puszcza! Fajne, nie? Całe rubryki drobnych ogłoszeń zapełniły się firmami, psującymi za dostępną cenę to, co właśnie zrobili budowlańcy. Firma rozpiłuje śrubę, wydłubie nakrętkę, rozłupie w razie czego futrynę. Zamiast tego przykręci zapinkę, produkowaną nie wiadomo gdzie, ale chyba w kraju. Ładnych parę setek Torpedów z tego psucia wyżyje, a ludziom nareszcie wietrzy się co potrzeba. Zapinki, karnisze i bezpyłowe.

Dalszy ciąg nastąpi.